

VariArt



www.wbp.olsztyn.pl

pismo kulturalno-literackie 01/2010



ISSN 2080-1483



FOTOMONTER V

W Olsztynie giną ludzie. Późną wiosną Witold S., lat 72, zamieszkały na Kolonii Mazurskiej, wyszedł z domu (jednopiętrowy, z gankiem, lokatorów brak, półhektarowy ogródek) po marchewkę – i nie wrócił. W czerwcu Matylda W., lat 26, zamieszkała na Podgrodzium, wyszła z domu (wieżowiec) po pieczywo, do piekarni na tej samej ulicy. Nie wróciła. W lipcu Krystyna J., lat 48, zamieszkała przy ulicy Jasnej (budynek 3-piętrowy), wyszła na chwilę do sąsiadki (budynek za rogiem). Nie wróciła. Pod koniec sierpnia Mateusz B., lat 35, zamieszkały przy ulicy Jagiellońskiej, wyszedł z domu (5-piętrowa kamienica) do pracy. Nie wrócił. Między zaginionymi nie ma żadnych powiązań: brak podobieństw w wieku, zawodzie, statusie społecznym. Zaginieni nie stanowią rodziny, nie mają wspólnych znajomych. Miejscowy świat przestępczy jak zwykle do niczego się nie przyznaje. Poszlak brak. Śladów brak. Tyle policja. Ludzie swoje wiedzą...

Widziano TO. Wiele znaków szczególnych. Dziwne uszy. Drapieżne paski. Zamiast oczu – szparki. Zimą zostawia czteropalczone ślady. Jest szybkie. Mieszka w słynnych lochach pod Olsztynem. Wszyscy mieszkańcy miasta o nich wiedzą – to wspólna tajemnica Poliszynela, o której się nie mówi. O której się nie chce pamiętać. Przyjezdnym opowiada się o lochach jako o lokalnej ciekawostce: „Człowieku – odłot! Jest wejście w katedrze – a jakże! A wyjście na zamku, nieprawdaż. A na środku podwórka przy ulicy Kościuszki taka wielka, na głucho zamknięta kłapa – to włącz do schronu!”. I tyle. Prawda jednak jest inna – nie myślmymy o niej po zmroku! Lochy ciągną się pod całym Olsztynem niczym wilgotne królestwo Minotaura. Kto chce, może tam wchodzić – schron chroni, lochy się ciągną bez końca, szparki są żółte, mają pionowe źrenice...

We wrześniu Jan S., lat 56, w październiku Paulina M., lat 35, w listopadzie Piotr H., lat 60, w grudniu Marlena B., lat 19, w styczniu Krystian L., lat 28, w lutym...

Ludzie swoje wiedzą.

Po Olsztynie krąży tygrys i wszystko zżera. □

Anna Rau



Jedna z klap olsztyńskich kanałów wodno-ściekowych.

Fot. Ryszard Sternik

Wydawca:

Wojewódzka Biblioteka Publiczna

10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5

tel. 089 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Redakcja numeru: Sylwia Białecka, Iwona Bolińska-Walenzik, Anna Rau, Anita Romulewicz, Waldemar Tychek

e-mail: variant@wbp.olsztyn.pl

Grafika i skład: Przemek Kozak; kozak@sphereoncord.com

Druk: Drukarnia LEO; info@drukarnialeo.com.pl

ISSN 2080-1483

02	Fotomonter V
04	Wywiad z Markiem Świąteckim
07	Proza → Maciej Rynarzewski
08	Proza → Juozas Šikšnelis
09	Era Nowe Horyzonty
10	Dramat → Paweł Jaszczuk
14	Zaplecze → recenzja
16	Galeria VariArt-u → Aleksander Woźniak
18	Proza → Waldemar Tycek
20	Olsztyńskie <i>daemones loci</i>
21	Poezja → Michalina Janyszek
22	Rzekomo żona zamierza męża brzytwą zarznąć
24	Życie kulturalne Ostródy
26	Tajemnice piwnic zamku ostródzkiego
27	XX-lecie Borussii
28	Proza → Bobbie B. Barlow
28	Poezja → Andrzej Ballo, Piotr Bierzyński
30	Felietony

Dlaczego lubimy się bać?

Dlaczego lubimy opowieści o wampirach, duchach i zjawach?

Dlaczego wszelkie dekadencje i turpistyczne przejawy kultury uważamy za coś wysublimowanego, a pochwałę życia za skrajną przyziemność?

Dlaczego im bardziej przyjemna jest nasza codzienność, tym bardziej tęsknimy za brutalnością, śmiercią i destrukcją w kulturze?

Dlaczego chłopak wychowany w mieszczańskim dobrobycie i na mieszczańskich ideałach (w tej kolejności) pewnego dnia sięga po siekiere, by zatłuc koleżanki z pracy? I dlaczego właśnie on wydaje się nam interesujący?

Oczywiście nie odpowiemy na te pytania.

Ale postaramy się dać Wam, drodzy czytelnicy, odrobinę tego, czego naprawdę pragniecie.

Będzie trochę straszno (jak w dobrej ludowej opowieści), trochę obsesyjnie i paranormalnie, trochę obrzydliwie, destrukcyjnie i śmiertelnie – proza Waldemara Tychka, Bobbiego B. Barlowa, Macieja Rynarzewskiego i Juozasa Šikšnelisa, poezja Michaliny Janyszek-Kujawy oraz grafiki Aleksandra Woźniaka. Rzucamy też strumień światła na mroczne baśnie regionalne oraz wykwity wyobraźni olsztyńskich prozaików – Marty Syrwid, Pawła Jaszczuka i Tomasza Białkowskiego.

Poza tym odrobina ironii – dramat Pawła Jaszczuka, wiersze Andrzeja Ballo i Piotra Bierzyńskiego oraz grafiki Piotra Obarka.

Jasnym kontrapunktem jest wywiad z Markiem Świąteckim, relacje z imprez i zapowiedzi wydarzeń, prezentacja życia kulturalnego (i nie tylko) Ostródy oraz felietony.

Porażającej lektury
życzy
Redakcja

VariArt
pismo kulturalno-



Masz wiele talentów, które z pasją godną renesansowego *homo universalis* realizujesz. Jesteś malarzem, nieobcy jest Ci teatr, a także muzyka. Nie mają przed Tobą tajemnic różne gatunki literackie, a do tego jeszcze potrafisz zarządzać licznymi organizacjami, dyrektorować i prezesować. Co Cię tak intensywnie inspiruje?

Sprawa jest bardzo prosta: jako dzieci boże wszyscy jesteśmy wyposażeni w ogromne talenty, tylko niestety bardzo niewielu z nas zdaje sobie z tego sprawę i uruchamia te możliwości. Tylko od nas zależy, czy będziemy malarzem, tancerzem, aktorem czy muzykiem, a może poetą. Ważne jest, żeby to nasze krótkie życie wypełnić jakąś przyjemną treścią – i właśnie ta treść sprawdza się jako sposób na życie. To jest bardzo ważne. Naprawdę.

Malarstwo jest jednak tym medium, które Ci najbardziej odpowiada?

Tak, właśnie tak jest. Malarstwo... oczywiście to nie jest prosta sprawa, nie można tego zdefiniować w jakimś konkretnym wymia-

rze. Zresztą... Leonardo, czy Rembrandt, wcale nie uważali się za artystów. Pojęcie artysty, pojęcie sztuki pojawiło się tak naprawdę pod koniec XIX wieku. I Rembrandt, i Leonardo, i im podobni wielcy twórcy byli przede wszystkim rzemieślnikami, dzisiaj świat wraca do tamtego wymiaru. Tak naprawdę wartością jest to, jak postrzegamy, co potrafimy z sobą zrobić – oraz nasze umiejętności warsztatowe nieograniczone do konwencji konceptualizmu. To, co ja robię, jak i wiele innych osób, robię dla własnej przyjemności. To jest pewna forma autoterapii, ale... Kiedy dziesięć lat temu zaczynałem budować dom w lesie, zachorowałem na las. Dziś zaczynam dzień od spaceru po lesie, znajduję tam siebie, stałem się chyba jakimś leśnym duszkiem (śmiech). Odnalazłem moje miejsce „w szeregu”.

A co z pozostałymi dziedzinami? Nie jesteś już aktorem, muzykiem, satyrykiem, a pióro swoje „połamałeś” ostatecznie? Nie doczekamy się powrotu do „Poradnika dla prawdziwych mężczyzn”, który prezentowałeś w odcinkach w olsztyńskim radiu?

Nie, nie, to nie tak. To wszystko jest bardzo ważne, ale w dzisiejszych czasach nie możemy robić wszystkiego na raz. Trzeba się jednak w czymś specjalizować, zwłaszcza jeżeli mamy to gdzieś w świecie pokazać. Dlatego przestałem być „po prostu malarzem”, a stałem się malarzem-pastelistą – i ta właśnie specjalizacja spowodowała moją rozpoznawalność w świecie.

A gdyby zaistniała możliwość powrotu do satyry, zarówno tej pisanej jak i prezentowanej w radiu, lub w jakiegokolwiek innej formie, czy wróciłbyś?

Tak, w satyrze nadal się realizuję – na przykład zrobiłem taki cykl satyrycznych portretów znanych polityków, między innymi Berlusconiego z tym swoim wystawionym środkowym palcem, Putina trzymającego w objęciach wielkiego pluszowego niedźwiadka, czyli Miedwiediewa, czy też portret prezydenta Sarkozy'ego, który pokazałem w Paryżu. Pani Carla Bruni to widziała i bardzo jej się podobało.

Twoją specjalnością są portrety i – od jakiegoś czasu – pastelowe pejzaże...

Owszem pejzaże, ale nasze – warmińskie. Pokazuję to w świecie i przy tej okazji ludzie odkrywają piękno i urodę Warmii i Mazur – do tej pory nieznanego regionu Europy.

Odnoszę wrażenie, że właśnie pastel jest tą formą, w której czujesz się najlepiej.

To prawda. Jako narzędzi w tej pracy używamy pastelowych kredek, ale i naszych opuszków palców, które są malarsko delikatne, ale i warsztatowo niezwykle precyzyjne.

Za te właśnie prace otrzymałeś najwięcej nagród (w tym uznanie środowisk z Ameryki Północnej i Europy)...

Tak, to prawda.

Prowadzisz warsztaty, założyłeś własną szkołę pejzażu, czyli wszystko zmierza w tym, wypracowanym przez Ciebie, kierunku, o którym na początku wspominałeś?

W trakcie moich wyjazdów do Francji odkryłem, że to, co tutaj mamy – nasz pejzaż, nasz krajobraz – jest rzeczą niezwykle oryginalną w kontekście europejskim. Na moje pejzaże, które także tam pokazuję, w takiej właśnie realistycznej formie, ludzie patrzą i mówią: „O matko! Jakie to jest niezłe! To ty tam mieszkasz, w tym lesie?”. Dla nich to jest nie tylko wersja czysto warsztatowa, plastyczna, ale także wizja naszego krajobrazu. To niezwykle wartościowe. Uczestnicy moich warsztatów, tworząc własne prace, zapoznają się z podstawowymi zasadami kreacji malarskiej i odkrywają swoje nowe możliwości, co prowadzi do zupełnie nowego sposobu postrzegania świata.

Czy można nauczyć się malować (rysować) techniką pastelową? Nauczyć się takiej wrażliwości, która pozwala uchwycić coś, co być może jest tylko impresją lub chwilowym załamaniem światła?

Można, można... Bo to są tylko sprawy warsztatowe, to kwestia doświadczenia, które zdobywamy po pewnym czasie. A druga sprawa – musimy otworzyć się sami przed sobą, odkryć swoje twórcze możliwości. Spójrzeć na siebie trochę inaczej niż do tej pory, bo niestety żyjemy w trudnych – medialnych – czasach i poddawani jesteśmy okropnej frustracji, więc się blokujemy, by tę presję ograniczyć. Moje warsztaty prowadzą do oderwania się od tego stresu i otwarcia – także przed samym sobą. Mówimy tam o kompozycji obrazu, o zasadach perspektywy, kolorystyki i innych podstawowych zasadach kreacji obrazu w konwencji realistycznej. Natomiast jeśli później ktoś zechce stworzyć abstrakcję, to oczywiście jest to możliwe, ale najlepiej, jeśli będzie to robić świadomie. Kiedyś przeżyłem szok. Robiłem warsztaty w Danii – i ci ludzie mówili: „Zaraz, zaraz... to aż tyle teorii potrzeba, żeby wiedzieć, na czym polegają zasady malowania obrazu? Jakaś perspektywa i kolorystyka, i reguły kompozycji? Jak to? Zwykle to ja robię chlastu, chlastu – i już mam obrazek!”. A ja im mówię: „No pięknie, ale to, co ci wychodzi, jest sprawą przypadku, jakby bez udziału twojej świadomości, bo to robią tylko same twoje ręce”.

Jesteś laureatem wielu konkursów plastycznych oraz uczestnikiem prestiżowych wystaw. Twoje prace zwiedziły obie półkule, dostępne są również w Internecie, gdzie zyskały na forach bardzo liczne grono fanów. Które z tych wyróżnień najbardziej sobie cenisz?

One tak naprawdę nie mają dla mnie wielkiego znaczenia. Nie maluję z myślą o pieniądzach, czy konkursowych nagrodach. Myślę, że te wyróżnienia liczą się przede wszystkim jako fakty medialne. Na przykład, kiedy w ubiegłym roku Stowarzyszenie Pastelistów Francuskich przyznało mi tytuł Mistrza Pastelisty, natychmiast dostałem podobny tytuł także od Amerykanów – czyli z jednej strony Art du Pastel en France, z drugiej The Pastel Society of America. No i stało się! Teraz dzięki temu mam trochę więcej kontaktów oraz nowych możliwości. W tej chwili rozmawiam na przykład z galeriami w Nowym Jorku, by tam zrobić naszą dużą prezentację. Zresztą podobnie w zeszłym roku – miałem własną wystawę w Rzymie, a w tym roku w czerwcu, w muzeum Castella Farsetti na Starówce w Rzymie, będziemy robić naszą zbiorową wystawę: trzy duże sale, w których grupa 50 naszych artystów pokaże 250 prac, a otwarciu będzie towarzyszyć sztuka *in statu nascendi* (w trakcie tworzenia). To będzie i „smarowanie” przy sztalugach, i dłubanie, i rzeźbienie, performance i instalacja. Ma to sfilmować włoska telewizja, oceńnią krytyka sztuki z Rzymu i wypromujemy w ten sposób kulturę naszego regionu.

Zainicjowałeś powołanie Stowarzyszenia „Areszt Sztuki”. Przypomnijmy, że jednym ze spektakularnych celów powołania go było przejście obiektów olsztyńskiego aresztu na Interdyscyplinarne Centrum Sztuki. Czy byłeś naprawdę przekonany, że ta idea okaże się na tyle nośna, by przyciągnąć do niej wielu artystów z naszego regionu? I czy był jakiś problem, żeby przekonać ich do tej idei?

Nie, to nie był żaden problem. Nadal zresztą pracujemy nad tym tematem i jesteśmy nim bardzo zainteresowani. W korespondencji z Centralnym Zarządem Więziennictwa uzyskałem informację, że Olsztynowi przydałby się nowy Areszt – tylko nie dla 100, a raczej dla 500 osób, i w nowym miejscu – gdyż trzeba wyprowadzić więźniów z centrum miasta. Powiem więc – udało mi się nawiązać współpracę z dyrekcją aresztu i tam powstanie „prawdziwy” Areszt Sztuki, to znaczy wzmocnimy procesy resocjalizacji i wykorzystując możliwości naszego środowiska artystycznego będziemy tworzyć warsztaty arteterapii! Możemy to zrobić w różnej formie...

Czyli koncepcja Interdyscyplinarnego Centrum Sztuki nadal jest aktualna?

Tak, jak najbardziej. To znaczy – po udostępnieniu przez miasto terenu pod budowę nowego więzienia (sfinansowaną przez budżet centralny) – musielibyśmy stworzyć taki projekt na adaptację obecnych obiektów aresztu, który zostałby sfinansowany przez Unię. Wtedy nawet do 90% kosztów mogłaby zrefundować Bruksela. Właśnie – rewitalizacja zabytkowego obiektu i stworzenie w nim interdyscyplinarnego regionalnego centrum kultury, gdzie znalazłyby swoje nowe miejsce nasza galeria BWA, sale koncertowa i teatralna, sklep z materiałami plastycznymi, pracownie do organizacji warsztatów oraz biura promocji naszej kultury. Całość mogłyby oczywiście uzupełniać hostel i kawiarnia – przecież mówimy o centrum miasta. Oczywiście mur zostałby zburzony, a każdą jego cegielkę przetworzylibyśmy na dzieło sztuki.

Rozumiem, że to praca, którą aktualnie zajmuje się stowarzyszenie. A ilu obecnie ono liczy członków?

Okolo pięćdziesięciu. Cały czas wszystko się zmienia, rozrastamy się. Zaproponowaliśmy i podjęliśmy współpracę z kilkoma innymi stowarzyszeniami, np. ze Związkiem Polskich Artystów Plastyków, z którym ostatnio razem realizujemy nasze duże (nie tylko europejskie) prezentacje. Mamy coraz więcej przyjaciół i myślę, że to dobrze rokuje na przyszłość. Będziemy coraz bardziej widoczni!

„Kochajmy Warmię” to interdyscyplinarny, autorski projekt, który był realizowany w miastach partnerskich (Offenburg, Gelsenkirchen, Châteauroux, Osnabrück, Perugia) oraz w Lidzbarku Warmińskim. Z jakim przyjęciem spotkało się w Niemczech hasło „Ermland ist der Liebe wert!”?

Projekt stworzyłem sześć lat temu i udał się. Spotkał się z bardzo dobrym przyjęciem, Niemcy byli zaskoczeni (podobnie Włosi i Francuzi). Niestety bardzo mało przez dziesiątki lat robiliśmy w tych sprawach, może to się wiązało z poprzednim systemem izolacji kraju, także w sensie kulturowym? Obecnie więc dla stereotypowego Niemca Polak-artysta to coś zupełnie nowego, a jeżeli jeszcze ten artysta ma naprawdę coś ciekawego do zaproponowania, to w ogóle wszystkich zaskakuje! Przeżyliśmy wiele ciekawych momentów. W tej chwili szykuję projekt festiwalu sztuki, który nazwałem „Pejzaż Europy”. Nie chodzi tu oczywiście o pejzaż w sensie dosłownym, ale w znaczeniu kulturowym – to, co w danych regio-

nach Europy jest najbardziej charakterystyczne. I wyobraźmy sobie: spotykamy się na dwa tygodnie w Olsztynie i obcujemy ze sztuką, teatrem oraz muzyką różnych regionów Europy. Po dwóch tygodniach przenosimy całość np. do francuskiej Bretanii, niemieckiej Badenii-Wirtembergii, czy do włoskiej Perugii – w różne miejsca. Ważne, żeby temu wszystkiemu towarzyszyły aspekty edukacyjne. W każdym razie jest to jeden z warunków, by zainteresować Brukselę. A poza tym przecież chodzi o to, żeby nawiązać współpracę, bezpośrednie porozumienie regionów. Ten aspekt zresztą to nasze bardzo bolesne doświadczenie: przecież mamy podpisane porozumienia z wieloma regionami w Europie, ale niewypełnione żadną treścią. Nic za nimi nie stoi, a szkoda. Chodzi więc o to, by – po pierwsze – uruchomić te programy, a po drugie – stworzyć coś w rodzaju rady programowej, której członkami byłiby przedstawiciele różnych regionów, środowisk i stowarzyszeń, także administracji lokalnej – i dopiero wtedy stworzylibyśmy program w bardzo konkretnych wymiarach, właśnie „dla Brukseli”. To jest możliwe.

I na koniec jeszcze kilka słów na temat Twojego ostatniego sukcesu. Dotąd byłeś jedynie Wielkim Pastelistą Francuskim, a teraz okazało się, że Amerykanie jakby pozazdrościli Francuzom tego tytułu i uznali cię za pastelistę światowego formatu.

No tak, ale to wiąże się z faktem, że oni po prostu odkryli moje prace na stronie internetowej (www.pastelart.net). Spodobały im się, nawiązali bezpośredni kontakt i zapytali, czy mogliby je wykorzystać, bo właśnie szykują duże wydawnictwo promujące artystów światowych (Best of Artists Kennedy Publishing). Ta publikacja będzie rozsyłana po galeriach całego świata. Udało mi się ich namówić do pokazania także innych pastelistów polskich i okazało się, że Amerykanie są otwarci – w publikacji więc będzie można znaleźć prace m.in. Ryszarda Miłka, pastelisty z Nowego Sącza. Myślę, że to dla nas bardzo dobre doświadczenie, które otwiera także nowe możliwości.

Światowi artyści! To chyba będzie jakieś wielotomowe wydawnictwo?

O, tak! To wielotomowe dzieło – to znaczy, Amerykanie podzielili je na dwa tomy: w pierwszym artyści amerykańscy, a w drugim – artyści światowi (śmiech).

Śmiało więc można powiedzieć, że jesteś nie tylko artystą obdarzonym rozpoznawalną charyzmą, ale i niezwykle zapracowanym ambasadorem kultury naszego regionu. Czy w Twoich planach i aspiracjach jest jeszcze miejsce na coś nowego?

Ostatnio Francuzi zobaczyli na mojej stronie internetowej sporo zdjęć z warsztatów, jakie prowadzę tutaj, w Olsztynie, i zapytali mnie, czy nie mógłbym od czasu do czasu wpaść do Paryża – bo tam też jest Akademia Pasteli – aby dołączyć do osób prowadzących zajęcia. Zobaczmy – wszystko jest jeszcze przed nami.

Powodzenia i dziękuję bardzo za rozmowę. □

Rozmawiał Waldemar Tychek

Dział Zły

Kolejny raz budzik przerwał mu sen o namiętnym spotkaniu pośród kokosowych palm, o gorącym piasku błękitnej laguny. Kolejny raz budzik wyrwał go z lepszego świata i walnął nim o szary bruk codzienności. Otworzył oczy. Pierwsze zmęczone już spojrzenie na plakat znajdujący się na wprost łóżka. Idealny krajobraz prosto z Malediwów, kupiony na wyprzedaży plakatów w supermarkecie, wypełniał sobą większą część ściany małego pokoju. Marzenia do spełnienia. Nawet nie chciało mu się rzucić w kierunku sufitu tradycyjnego porannego bluzgu skierowanego do sił wyższych zawiadujących tym całym biznesem. Postawił stopy na zimnych panelach, potarł zarośnięty policzek – dziś zdecydowanie nie będzie mu się chciało ogolić. Jaskrawy blask ostrego zimowego słońca uwydatniał brudne szyby, popačkany czymś parapet oraz brudną pościel. Otoczenie doskonale pasowało do jego nastroju.

Do pracy. Znowu. Żeby to jeszcze była fabryka. Budowa. Huta Katowice czy kasa w supermarkecie, to gotów byłby się pogodzić z koniecznością odbębnienia swojej szczyty i wydania zarobionych pieniędzy w celu zapomnienia o poprzednich ośmiu godzinach. I na pewno by więcej płacili. A tak liceum, studia, podyplomówka, cztery miesiące bezrobocia i teraz w końcu od pół roku praca. Cholerna, pier... praca. W bibliotece. Kto by się spodziewał... Zresztą szkoda gadać o tym nawet. Świetna okazja... Załatwiona naturalnie po znajomości. Ciocia poszła na macierzyński i zwalniało się miejsce. „Jak chcesz, to pogadam z dyrekcją. Bo wiesz, pani Bożena z gromadzenia podobno chciała córkę wepchnąć. Dziewczyna wróciła z Anglii niedawno. Też tak jak ciebie na przeczekanie. Co...? Chcesz...? Załatwię”. Nie spodziewał się, że będzie to tak brzemienne w skutki rozmowa.

Daje sobie jeszcze kilka miesięcy, może się odezwą z jakiejś firmy, może w cholerę wyjedzie do Australii. Trzydzieści sztuk wysyłanych co miesiąc CV musi w końcu przecież dać jakiś skutek. Wysyłanych naturalnie w służbowych kopertach, bo chyba jedynie to zostało, żeby zemścić się na tej parszywej pracy.

Na śniadanie dwie kanapki z pasztetem podlaskim, kubek herbaty marki „Minutka” i szklanka płynu powstałego z zagęszczonego koncentratu soku pomarańczowego. To wszystko, co rano mógł zrobić, żeby wzmocnić swój system immunologiczny przed pojawieniem się w ciemnych i zakurzonych pokojach Działu. Pokojach pełnych paprotek, serwetek, podróbek perfum marki Dolce&Gabana, cukiereczków na spodeczkach, katalogów Avonu, starych drewnianych biureczek, obitych sztuczną skórą drzwi i wytartych klepek podłogowych. Wszystko niczym z koszmarnego skansenu minionej epoki. Wszystko wciąż żywe. Drugie śniadanko o 10, pogaduszki, kawka. Ujadanie gębami, drobne uszczypliwości. Jak u Orwella – godzina nienawiści. Pani Maria obgada kreację Pani Joli, że taka stara, a się jak młódka

Fot. Maciej Rynarzewski

Maciej Rynarzewski

stroji. Pani Jola konfidencjonalnie zacznie mu opowiadać, że Maria jest jak but głupia, że mąż profesor to ją tu umieścił po znajomości i że to jego studentka kiedyś była, jej dziecko zrobił, nie było wyjątkiem. Potem obie obrzucą się pogardliwymi spojrzeniami w przejściu, a on wlepi na gębę zużyty uśmiech. Potem z kolei zobaczy, jak obie poszeptują coś patrząc na pana Henryka, który akurat przyjdzie wymienić żarówkę. Młoda dziewczyna z magazynu też swoje zarobi. A pod koniec zmiany któraś na pewno zacznie się przymilać do niego, żeby posiedział za nią do końca dyżuru, bo ona ma wizytę u fryzjera.

Potworzyce, dwulicowe maskarony. Falszywe, spiskujące. O nim pewnie też mają coś do powiedzenia. Kiedyś słyszał: „Taki młody, nie mógł pracy znaleźć, fajtłapa, co to za facet, jak w bibliotece pracuje, rozumu też za wiele nie ma. Taki sam jak ta jego ciotka. Mój syn, rok starszy od niego, to w banku pracuje i już szefem został. Nie to, co ten”.

Zapętłające się kontakty, gra strategiczna, towarzyski węzeł gordyjski, symbiotyczne pasożyty. Psychiczne wampiry, wysysające radość życia, wysysające do ostatniej krztyny. Dwie stare baby, których nie usuną, nie przeniosą. Nikt ich nie chce, nikt nie ruszy, bo zostały im 3 albo 4 lata do emerytury. Taka to jest budżetówka k... jej mać. Dziś coś w końcu z tym zrobi.

Zacisnął mocniej dłoń na małym toporku, który wychodząc dziś do pracy zabrał z pawlacza. Z zamyślenia wyrwało go głośnie skrzypnięcie przegubowego autobusu. Wylaniający się zza zakrętu widok architektonicznej perły lat 80-tych spowodował u niego przyspieszone bicie serca i szczękościsk jak u bulteriera.

Tam, gdzie się udawał, był zdecydowanie zły dział. Dział zły. □



Podróż trupa (fragm.)

Urywek z powieści „HORYZONT ZDARZEŃ”

Zwłoki mężczyzny, na wpół zanurzone w wodzie, płynęły Wilią. Prąd niczym małe dziecko, które dostało zabawkę, obracał je to wzdłuż, to w poprzek koryta rzeki. Nawet próbował przewrócić je na wznak – trzeba wspomnieć, że ciało leżało głową w dół. Jak sławny przyrodnik – Darwin lub Ivanauskas¹, badający dno rzeki. Florę i faunę. Czasami ciało przechylało się lekko na bok – pojawia się podejrzenie, że chcąc ustalić miejsce swojego pobytu zerka w stronę leniwie zmieniającego się krajobrazu. Jak już nieśmiało wspomniano, słaby prąd rzeczny radośnie bawi się ciałem martwego mężczyzny, który znalazł się w jego mocy (z nieznanego nam powodu), ale jeśli spojrzelibyśmy na wszystko nie transcendentalnie, a zwyczajnie, po ludzku i z perspektywy kilkuset lat – prześledzilibyśmy drogę, jaką zwłoki przebyły rzeką, zaczęlibyśmy myśleć, nie że rzeka bawi się nową zabawką, ale że coś o wiele potężniejszego reguluje ich trajektorię. Najpewniej ten, kto ich ziemską drogę zmienił w wodną drogę. Myli się ten, który sądzi, że idąc pierwszą z dróg sam narzuci kierunek i tempo kroków. Hm, i w jednym, i drugim przypadku jesteście żdźbłem unoszonym wbrew swej woli.

Rzeka zaczyna się przed lasem Vingis²; wątpliwe, czy tam w dole nieboszczyk, który ulega, nie opiera się prawu przyciągania wody (które w zasadzie jest konsekwencją przyciągania ziemskiego), ale przezwyjęcza przyciąganie historii stuleci, jednym nabrzmiałym, na wpół przymkniętym okiem mógł ujrzeć leniwie zmieniający się z boku krajobraz lasów Vingis, Karoliniszki, Ponary – ich erozyjne urwiska jeszcze w XVIII wieku budziły zainteresowanie u jego, znaczy się, ciała, współczesnych oraz kolegów, przede wszystkim u botaników Gilberta, braci Jundziłł, Wolfgana, Gorskiego, J. Mowszowicza. Niejednego z nich pływak poznał osobiście, uściskał rękę życząc zdrowia i pomyślności, jak to było w zwyczaju. Po stu latach kołowania się w wodach Wili i dowiedziałyby się jeszcze, że w 1925 roku las Vingis ogłoszono rezerwatem. Później, w wyniku rekomendacji naukowców, zwrócono uwagę na erozyjne wzgórze, na których rośnie około 300 różnych roślin, a 20 z nich jest bardzo rzadkich. Na tej podstawie w 1964 roku klifowe urwiska w Karoliniszkach zostały parkiem krajobrazowym. Gdyby ktoś miał okazję i zatrzy-

małby trupa spokojnie poddającego się prądowi rzecznemu, to bez wątpienia w szklanym spojrzeniu jego na wpół przymkniętego oka odczytałby radosną aprobatę dla decyzji władz o utworzeniu parku krajobrazowego w Karoliniszkach.

Szklane oko trupa jest jak wiszący na gwoździu aparat bez filmu; obiektyw widzi, ale nie rejestruje, dlatego prąd rzeki i wieków nie sie go obok szklarni należących do ponarskiego kolchozu, z których dziś nie pozostał nawet zapach, wzdłuż zakola Bukčiu, oplatającego leśne tereny przedmieścia Dobrej Rady (już za czasów nieboszczyka słyną nie tylko mordercami, ale i pięknymi, chociaż niezbyt cnotliwymi panienkami). Ciche zalesione przedmieście doczekało się losu Kopciuszka i zmieniło w zakurzoną, cuchnącą dzielnicę przemysłową. Jego krewniak Dolne Ponary, ponad rozpościerającymi się urwiskami erozyjnego wzgórze, które przytuliło setki tysięcy wiecznie już niewinnych, nie zrobił na przepływającym żadnego wrażenia, ponieważ trup mimo nieprzewidzianych trudności, które przez kilka stuleci napotykał na drodze, rusza dalej.

Dziś nieboszczyk, a przed dwustu laty żywy człowiek, który mógł zmienić historię. Może i zmienił, przyjdzie nam to wyjaśnić. Zawiłe okoliczności zdecydowały o ułożeniu twarzy w dół, w głąb Wili i, tak by obserwować jej faunę i florę. Całe dwieście lat! Ile by jeszcze przepłynął dusząc w sobie niewypowiedziane jęki, niosąc niezatapialną zagadkę historii narodu i swoją osobistą winę, aż – przebywszy dwieście lat historii i Wilię – zatrzymał się przed Granicą, wioską dwóch rozpadających się chat – jednej dawno sprzedanej razem z ziemią i lasem, i drugiej – Tadzika Kosiora, który przestrzegał Słowa Bożego i nieprzekupnych zasad honoru gospodarza – bo „nie wszystko można kupić, nie wszystko się sprzedaje”. Łatwo zgadnąć, że wytrwałość szlachciury odziedziczona przez Tadzka z dziada pradziada nie zdołała wpłynąć na naszego bohatera – tego, którego drogę w rzece i przez stulecia właśnie śledziliśmy i obserwowaliśmy, choć to było tylko ciało napompowane gazem powstałym z szybko rozkładających się materiałów organicznych (...). □

Tłumaczyła Grażyna Niewiadomska

¹Tadas Ivanauskas (1882-1970), litewski przyrodnik i nauczyciel akademicki (przyp. tłum.).

²Las Vingis – park znajdujący się w Wilnie, porośnięty głównie sosnami (przyp. tłum.).



Kaja Wilengowska Nowe horyzonty – era zjawisk



Era Nowe Horyzonty to międzynarodowy festiwal organizowany w tym roku już po raz dziesiąty, odkrywa przed widzami niezwykłe zjawiska kina, „wysperane” wśród nowości. „Tlen”, „Dubel”, „Burrowing”, „Głód”, „Las” i „Plaże Agnes” – tych sześć spośród wielu filmów dziewiątej edycji festiwalu mogliśmy obejrzeć w olsztyńskim kinie Awangarda. Ideą imprezy jest pokazanie najciekawszych, najoryginalniejszych i najmniej konwencjonalnych zjawisk najnowszego kina.

Warto zwrócić uwagę na trzy całkowicie różne zjawiskowe filmy – trzy odmienne konwencje, trzy światy i trzy inne typy narracji.

„Tlen” Iwana Wyrpajewa – świat zgiełku i natłoku, dramat morderstwa z miłości i miłosnych porwów, ognista kobieta, pożądanie, fascynacja, muzyka, gniew. Takim właśnie, pozornie rozproszonym, hasłowym językiem należy, moim zdaniem, opisywać ten film, film stworzony przez dramaturga, jednego z najciekawszych twórców rosyjskich, nowatora i uważnego obserwatora. Poezja, melorecytacja, film jak płyta, zbudowany z odrębnych, ale skomponowanych w spójną całość, teledysków. Emocjonująca Karolina Gruszka, autotematyzm i ujmująca natarczywość obrazu. Wtręty wojenne, pęd, skwapliwa intencja filmu wyrażana w pytaniach niby to kulturalowych – „Co jest najważniejsze?” – „Sumienie” – odpowiada bohaterka. „Tlen” – od takich filmów kobietom rosną piersi, a mężczyznom ramiona.

Drugi biegun kina pokazany podczas festiwalu to „Burrowing”, wyreżyserowany przez młodych twórców ze Szwecji – Henrika Hellströma i Fredrika Wenzla. Mottem filmu są słowa pisarza i filo-

zofa Henry'ego Davida Thoreau: „Większość rzeczy, które moi sąsiedzi nazywają dobrymi, ja uważam za złe. I jeśli czegokolwiek żałuję, to właśnie swojego dobrego zachowania”. Bardzo refleksyjny, ujmujący łagodnością i powolną narracją obraz. Szwedzkie miasteczko wypełnione schludnymi domkami, „porządeczek” prowokujący do zachowań łamiących konwencję, porzucania papierków i wsadzenia kija w mrowisko. Kilkunastoletni chłopiec, główna postać filmu, kształtuje swoją rzeczywistość obserwując sąsiadów, wyślizgując się z uładzonego, gładkiego domku. Bezradny młody ojciec, wędrujący z synkiem na rękach, szuka ukojenia. Film i jego bohaterowie „płyną” ku naturze, a las i jezioro to miejsca, gdzie znajdują schronienie, choćby na moment. Ważny oddech. Obraz oczarowuje prostotą, płynnością, łamanie konwencji nie jest tu przejawem agresji ani buntu, jest niemal atawistyczną formą zjednoczenia z naturą. Niby nic się nie dzieje, przestrzeń niczego nie narzuca, po prostu jest.

Całkowicie inny styl prezentuje „Dubel” Johana Grimonpreza, belgijski dokument opisujący fascynujące zjawisko „podwójności”, skonkretyzowane przez reżysera myślą: „Jeśli spotkasz swojego sobowtóra, zabij go, zanim on zabije ciebie”. Fenomen podwójności jest w tym filmie pokazany na kilku płaszczyznach – przywracanie przeszłości przez przywołanie ważnych postaci świata polityki i ich sobowtórów sugeruje, że może to nie Jack Kennedy zginął w sławetnym zamachu? Może to jego sobowtór? Może spotkamy kiedyś siebie, tylko nieco starszego – co ma miejsce w opowiedzianej tu historii Alfreda Hitchcocka, spotykającego siebie o 20 lat starszego. Co jest prawdą? Zjawisko podwójności. Czy uwierzmy lustru? Jeśli dopuszczamy myśl, że postrzeganie kogoś jako lustro jest możliwe, jak filmowy Hitchcock możemy się o sobie wiele dowiedzieć. Nie tylko o podobieństwo fizyczne tutaj chodzi – sobowtór może postrzegać podobnie, dążyć w tym samym kierunku. W omawianym filmie problem dotyczy scalanej przez Grimonpreza rywalizacji w zdobywaniu kosmosu przez dwa wrogie mocarstwa, ZSRR i USA.

Festiwal Era Nowe Horyzonty zaznacza, jak ważne jest łączenie konwencji, zestawianie ruchu i bezruchu, przekombinowania i naturalności. Można różnie – można w jednym odnaleźć tak wiele zjawisk: feromon intensywności, refleksyjny „spacer film” i podwójność – te zjawiska razem mogą funkcjonować, dając wrażenie pełni. □



Występują: Wigand z Marburga, Komtur, Giermek, Agnes, Aktorka w trykotach, grupa tancerzy, Aktor z Mrówek, Knecht I, Knecht II, Kat, Chór Giermków, Mała Czarownica, Wielki Ulrich, Mały Wilhelm, Szalony Polak, Krwiożerczy Litwin, Zdrajca Kucharz, Biała Dama, Turysta I, Turysta II, Turysta III, Turystka

AKT I

Scena 1

(sala z kominkiem; pośrodku stoi ciężki dębowy stół, a na nim dwa gliniane kubki i cynowy lichtarz, w którym pali się świeca. Wigand z Marburga – szczupły i mały człowieczek, noszący ciemnobrązowy płaszcz, na głowie ma kapelusz – siedzi za stołem i coś pisze gęsim piórem na pergaminie. Komtur – postawny mężczyzna okryty krzyżackim płaszczem, podchodzi po cichu i staje za jego plecami)

Komtur – Co tam piszesz, przebiegły skrybo?

Wigand z Marburga – *(zastaniając)* Tylko prawdę, panie.

Komtur – Więc muszę się ciebie bać?!

(wchodzi Giermek w zbroi i staje przed Komturem na baczność. Komtur przekazuje mu rozkaz: przeciąga dłonią po szyi. Giermek kłania się i wychodzi)

Wigand z Marburga – *(przerwywa pisanie, zwija pergamin i wstaje)* Przepraszam za śmiałość, Komturze, lecz... lecz czy musimy skrócić go o całą głowę?

Komtur – *(obraca się zaskoczony pytaniem, opryskliwie)* Sam mówisz, że zna za dużo tajemnic.

Wigand z Marburga – *(drwiąc)* O tym kanale pod zamkiem wiedzą już okoliczni chłopci i o drodze do morza, którą można dotrzeć o cały dzień szybciej niż w siodle. *(po zastanowieniu)* Swoją drogą te dwa jeziora naprawdę przypominają mi wartki Ren, tylko zimy są tu ostre i chciałoby się wreszcie stąd uciec, wygrać stare kości...

Komtur – Miałem cię, Wigandzie, za mądrzejszego. Piszesz kronikę zakonu, a ja...

Wigand z Marburga – *(służalczo)* ...a ty pozwalasz mi swoimi wielkimi czynami przejść do historii.

Komtur – *(spogląda zdziwiony na Wigandę)* A więc pisz: *(dyktuje)* Dokładnie tu, gdzie wznoszę mury zamku, stała ich warownia. *(Komtur obserwuje Wigandę, podnosi dwa kubki i stawia z hukiem przy lichtarzu)* Oblegaliśmy ich przez miesiąc. Każdego dnia zasypywaliśmy ich gradem strzał. Nie mieli co pić ani jeść. Kiedy

skończyły im się zapasy, te dzikie bestie zaczęły jeść własne dzieci i wyrzucać je za palisadę. *(kończy dyktować)* Teraz sam rozumiesz, że musieliśmy skrócić ich męki...

Wigand z Marburga – I wszystkich ich zabić?!

Komtur – Galindowie nigdy by nam nie wybaczyli!

Wigand z Marburga – Gdyby mieli nasze zbroje i miecze, panie?

Komtur – Gdyby mieli tak potężnego, jak my, prześmiewco, *(żegna się)* Boga!

Wigand z Marburga – Chciałeś powiedzieć, że...

Komtur – Tylko to, że historia nie wybacza słabym, zwłaszcza tym, co zamiast miecza biorą do ręki wyskubane z gęsiego tyłka pióro! *(Komtur śmieje się i przywołuje skinieniem dłoni pacholka, który stał przy drzwiach. Pacholek zdejmuje jego krzyżacki płaszcz i wychodzi. Komtur siada na miejscu Wigandę, przeciera twarz, jakby był zmęczony)* Znasz, skrybo, prawdę, więc po co się pytasz?

Wigand z Marburga – Mam napisać, że pokonałeś go w walce?

Komtur – *(bierze świecznik i zamierza się na Wigandę)* Powiedziałeś o to jedno słowo za dużo!

Wigand z Marburga – Przepraszam stokrotnie, panie!

Komtur – *(podrywa się)* Widzę to po twojej minie, że masz przyjemność kpić ze mnie. *(obchodzi stół, za którym chowa się Wigand, Komtur próbuje go złapać)*

Wigand z Marburga – *(piszczy cienko, uciekając)* Tak, pokonałeś go w szlachetnej walce. Walczyliście jak równy z równym.

Komtur – I co jeszcze?

Wigand z Marburga – *(chowa się pod stołem)* Daję ci uroczyste słowo, panie, że twoje udręczone sumienie nigdy nie przejdzie do historii. Teraz przypominam sobie dokładnie, że Marseras zginął od twojej włóczni, a o jego ukochanej dziewczce, którą mu odebrałeś... wiem tylko *(ze strachem, spod stołu)* ja.

Komtur – I ja!

(Komtur siada na stole, ile razy wali pięścią, tyle razy Wigand kurczy się pod nim)

Komtur – O ile sobie przypominam, to ty pierwszy uprzejmie doniosłeś mi o Agnes: że śpiewa jak słowik, że kiedy idzie na rynek, rybacy ofiarowują jej świeże ryby, że szewcy i tkacze oddają jej za darmo najpiękniejsze stroje, byleby tylko chciała je na siebie włożyć. Mówiłeś, że jest urzekająca jak boginka. Tak, czy nie?

Wigand z Marburga – *(ze strachem)* Czyżbym kłamał, panie?

Komtur – Nie kłamałeś, totrze! *(uderza pięścią w stół)* Nie kłamałeś! Dlatego zdobyliśmy ich gród i na jego miejscu wznieśliśmy zamek. Marseras o zmierrchu zginie, a wtedy ty przyprowadzisz Agnes do mnie. Zbierzesz grajków i śpiewaków, i urządzimy sobie... *(wali pięścią w stół)*

Wigand z Marburga – Możesz polegać na mnie, panie. Przecież nigdy cię nie zawiodłem. Dolejemy jej wina z pokrzykiem. A jeśli nie zechce pić, powiemy jej, że Marseras tylko wtedy odzyska wolność, gdy, no, wiesz... Jestem pewien, że przestraszona Agnes dzisiaj w nocy ci ulegnie.

Scena 2

(przyciemnienie, słychać z daleka muzykę, do sali wbiega kilku skoczków, którzy zabawiają publikę, po nich wchodzi rozebrani do pasa potykacze ognia i zonglerzy, przedstawiają scenę zakuwania w dyby i ścinania mieczem)

Komtur – *(wściekle)* Stop, stop, co oni mi grają? Co to za kocia muzyka?!

Wigand z Marburga – To legenda o Rynie. Napisałem ją na twoją cześć, panie.

Komtur – Legenda? A ja myślałem, że oni drwią ze mnie.

Wigand z Marburga – Ależ, Komturze, jeszcze nie wymyślono gazet! Skąd masz wiedzieć, jakie są nastroje?

Komtur – Mam przecież szpiegów. Setki szpiegów, których wysyłałam codziennie do wsi i miasteczek.

Wigand z Marburga – Znajdują ich utopionych w bagnach i powieszonych na gałęziach.

Komtur – Skąd lepiej widać. *(śmieje się)*

Wigand z Marburga – Lecz nie ma sposobu o własnych siłach zejść.

Komtur – *(śmieje się i woła jednego z aktorów)* Skąd jesteś?

Aktor – Z Mrówek, panie.

Komtur – To jakieś leśne mrowisko?

Aktor – To mała wioska nad jeziorem. Trzy chałupy na cyplu. Byłem bartnikiem, panie!

Komtur – Tak, panie, nie, panie! Zbierałeś miód, a ten tu oto *(pokazuje na Wigandę)* przerobił cię na aktora?

Wigand z Marburga – Sam mówiłeś, że wystarczy przyłożyć miecz do szyi, a dokonuje się cud!

Komtur – *(zadowolony patrzy przez okno)* Już zmierzcha. Za chwilę Marseras wróci do swoich bożków. Niech zagrają coś wesołego, Wigandzie, a potem sprowadzisz mi tę dziewczkę Agnes i pokazemy jej *(wskazuje na sufit)* moją nową komnatę. *(śmieje się)*

(aktor, którego przed chwilą „święto mieczem”, teraz wieszka się rękami na halabardzie i udaje upolowaną zwierzynę, którą dwaj inni aktorzy wynoszą ze sceny. Zostaje Aktorka ubrana w trykoty, która śpiewa chorał, akompaniuje jej na lutni [lub na gitarze] inny aktor. Pod koniec chorału do sali wpada dwóch knechtów z krzykiem)

Knecht I – *(z łańcuchem)* Marseras uciekł, panie!

Knecht II – Panie, ten zwierz zrzucił ze schodów strażę, pogruchotał im kości i wskoczył jak żaba do fosy.

Knecht I – Udawał, że nie ma sił, a kiedy go prowadził na szafot, wyrwał się jak kot *(rzuca łańcuchem o posadzkę)* – i tyle po nim śladu!

Komtur *(podbiega, podnosi łańcuch i stara się uderzyć Knechta I, który zaślania się tarczą, Komtur rzuca łańcuch Knechtowi II, zwraca się do Knechta I)* Ty mówisz, że jak kot, a on twierdzi, że jak żaba. Ustal, kto ma rację, zanim powiesz go na lipie na dziedzińcu, a jeśli nie będziesz chciał, to on wylupi ci oczy.

Wigand z Marburga – *(do aktorki w trykocie, która uciekła z piśkiem pod ścianę)* Graj, co się gapisz, niemoto! Nie widzisz, że nasz pan ma ochotę się dziś rozerwać!

Aktorka – *(odgrywa scenkę: pokazuje [jak mim], jak Marseras przewraca knechtów, wskakuje na stół, między gości – widzów – a potem wybiega i już nie wraca)*

Scena 3

(wchodzi Giermek w zbroi, wprowadza Agnes do komnaty i wychodzi. Agnes jest ubrana w długą, Inianą sukienkę; rozgląda się trwożnie)

Wigand z Marburga – *(siedzi za stołem, na którym znajduje się dzban z winem, trzy kubki, owoce i chleb. Wigand czeka, aż Agnes podejdzie do niego, lecz dziewczyna zachowuje się z rezerwą)* Ty jesteś tą dziewczyną, którą nazywają Agnes? *(podnosi jabłko z talerza i gryzie głośno)*

Agnes *(milczy)*

Wigand z Marburga – Odpowiadaj, kiedy cię pytam.

Agnes *(nadal milczy i staje w bezpiecznej odległości po drugiej stronie stołu)*

Wigand z Marburga – Przyjęłaś taktykę, która źle się dla ciebie skończy. W lochach tego zamku gniją...

Agnes – *(patrzy mu w oczy)* Dobrze wiesz, uczony panie, że jestem narzeczoną Marserasa. Że Komtur trzyma mnie w zamku jako zakładniczkę, lecz mój ukochany nie pozwoli, by z mej głowy spadł choć jeden włos.

Wigand z Marburga – *(zadowolony z komplementu)* Nauczyłaś się pięknie mówić i już wiesz, że jestem... *(chrząka)* słynnym kronikarzem. Muszę się pochwalić, że opisuję dzieje tego zamku i zaciekał mnie okrutny los, jaki spotkał wasze plemię.

Agnes – ...za pochlebstwa dobrze ci płacą, więc zrobisz wszystko, by przypodobać się swemu komturowi.

Wigand z Marburga – *(zakłopotany)* Zapisuję prawdę. Przyjechałem do Rynu, bo doniesiono mi, że właśnie tu obraca się dziś najważniejsza karta europejskiej historii.

Agnes – Historii gwałtów i pożóg?

Wigand z Marburga – Nie, pani – cywilizacji i postępu.

Agnes – Niebywała to umiejętność ruchem pióra usprawiedliwiać krwawą historię zakonu!

Wigand z Marburga – *(rozgląda się)* Te ściany mają uszy, więc dobrze ci radzę, bądź rozsądna.

Agnes – Jestem u siebie, uczony panie!

Wigand z Marburga – *(zmienia taktykę)* Wiem i dlatego chcę ci pomóc. *(podsuwa jej jabłko, które Agnes wyrzywa i zachłannie je, jakby była strasznie głodna)* Ja nie jestem jednym z nich. Przyjechałem tu z tajną misją. Mam odszukać to coś, co ukryliście przed nimi *(pokazuje znak krzyża)*, zanim oni to znajdą.

Agnes – Nie rozumiem, panie.

Wigand z Marburga – *(wstaje i zbliża się do niej)* Musisz mi zaufać i wyjawić tajemnicę, gdzie zakopaliście skarb plemienia Galindów. To bardzo ważne, inaczej „Ordo fratrum domus...” wzmocni się na tyle, że pokona inne plemiona, a o waszym historia nawet nie wspomni. Wierz mi, moich przyjaciół templariuszy oskarżono o herezję. Jakub de Molay spłonął na stosie. Mam mówić więcej?

Agnes – Chcesz mnie, panie, zastraszyć?

Wigand z Marburga – Jeśli mi pomożesz, przysięgam: podzielę się z tobą kosztownościami i wyjedziemy stąd daleko, a potem postaram się wykupić z niewoli Marserasa.

Agnes – *(kpi)* I będziemy jak w bajkach żyć długo i szczęśliwie!

Wigand z Marburga – Będziemy, bo ja *(przycisza głos i pokazuje jej krzyż ukryty pod szatą)* przysięgałem na maltański krzyż i nigdy nie złożę broni.

Agnes – A jeśli powtórzę twoje słowa Komturowi?

Wigand z Marburga – *(przestraszony)* On... on nigdy ci nie uwierzy. Zresztą zaraz przekonasz się, kto z nas ma rację. Tylko uważaj: on nie lubi ponuraków. Kiedy przekroczy próg, bądź pogodna. Udawaj, że wypijaś dużo wina. *(nalewa jej wina do pucharka i podaje)*

Agnes – O, już słyszę jego kroki.

Wigand z Marburga – Pamiętaj, że nie ma prawa poznać, że... *(szepcem)* w zamian przysięgam ci, że cokolwiek się stanie, on nie zrobi ci krzywdy!

(wchodzi dwóch giermków, którzy wnoszą latarnie, a za nimi Komtur z miną zdobywcy)

Wigand z Marburga – *(do Komtury)* Wszystko przygotowane, Komturze. Przed chwilą piękna Agnes zapytała mnie, czy mogłaby w twoim *(i moim także)* towarzystwie zwiedzić zamek. Chciałaby się też dowiedzieć, ile żywicy i kurzych jaj dodaliście do wapiennej zaprawy, żeby wzmocnić mury, a także ile dni trzeba suszyć cegły, by...

Komtur – *(przerzywa mu)* Dlaczego za nią gadasz, jakby nie miała języka?

Wigand z Marburga – Staram się tylko...

Komtur – Mniej więc się staraj! *(po chwili do Wiganda)* Idź przodem i nie wchodź mi w drogę! Będziesz naszym przewodnikiem. *(do giermka)* Służba niech rozświetli zamek, niech przygotują kąpiel dla pięknej Agnes *(giermek wybiega, by spełnić rozkaz, wtedy Komtur próbuje schwycić Agnes za rękę, lecz ona chowa się za Wiganda)*

Scena 4

(dziedziniec. Wigand z Marburga, Agnes, Komtur, służba przenosząca na plecach chrust, przewożąca na taczkach worki i cegły, słychać metaliczne dźwięki młota w kuźni)

Wigand z Marburga – *(objaśnia)* Zamek ten posiadać będzie, pani, aż cztery skrzydła. Szlachetny Komtur zaplanował je dla siebie, dla swoich rycerzy, dla myśliwych i... dla więźniów, pani!

Agnes – *(do Komtury)* Czy w takim razie możemy od razu tam pójść, chciałabym zobaczyć...

Komtur – Dziwna, pani, zachcianka. Chciałabyś pójść do więzienia, zobaczyć hak pod sufitem, hiszpański trzewik i dyby? Czy nie ma lepszych dla ciebie miejsc, na przykład sadzawka marzeń, w której moglibyśmy tylko ty i ja się... *(przerzywa, bo nadchodzi Kat w katowskim stroju i coś szepcze Komturowi do ucha)* Nie teraz, nie teraz, ośle! Macie mi zbadać dno fosy. Weźcie kotwice, bosaki, haki i drągi...

Chór giermków *(podrygując, jakby tańczyli współczesny rap)*

...zamieńcie się w raki, pstrągi.

Weźcie drągi, bosaki, haki i kotwice,

Zróbcie prawdziwą wodną nawałnicę!

Komtur – (*ucisza Chór i zwraca się teraz do Agnes*) Choć zawsze ten pan, ile razy zechcę, może być do twoich usług. Wierz mi, to ciężka i niewdzięczna praca. Bolał go uszy od jęków, a i krwią się ubaibrze, gdy dobywa szczypiec, gwoździ albo miecza. (*Agnes przerażona chowa się za Wigandą*) Może więc lepiej odwiedzić refektarz.

Wigand z Marburga – Świętny pomysł, panie. Proponuję napić się reńskiego, od tego włóczenia się po komnatach całkiem zaschło mi w gardle.

Komtur – Nie zasłużyłeś jeszcze na nagrodę, czuję ponadto, że znowu coś, lisie, kręcisz.

Wigand z Marburga – Ależ jakbym śmiał, panie!

Komtur – „Panie” i „panie”! (*do Kata, który płaszczy się unizienie*) Co tam znowu, potworze?

Kat – Dziękuję za pochwałę, pa... (*łapie się za język*) Miałem ci przypomnieć, pa... panie, że dziś jest wielkie święto. Złapano małą czarownicę i będziesz miał wielką przyjemność sam podłożyć ogień pod stos.

Agnes – (*wzdryga się*) Ja ją znam, to córka garncarza z przedmieścia. Jeśli ona zginie, nie ma na tym świecie sprawiedliwości.

Komtur – (*do Wiganda, cynicznie*) A jest jeszcze na tym świecie sprawiedliwość?

Wigand z Marburga – O ile wiem, wy sami jesteście sprawiedliwosciami, mając zbroje i miecze, panie.

Komtur – Słyszałaś? Donieśli mi szpiedzy, że ta mała bestyjka paliła przy księżycu ziota. To niewybaczalne! Miała przy sobie mieszek, a w nim smrodliwego pająka i jaszczurczy ogon.

Chór giermków

Ziota i ogon

Wrzucała o północy do ognia!

Tańczyła po rosie, panie.

Komtur – Teraz rozumiesz, że to niewybaczalna zbrodnia! Poświęcimy, więc ją dla ... rycerskiego skrzydła. Pozostałe mają już swoich patronów: szalonego Polaka, krwiożerczego Litwina i zdrajcę kucharza, co chciał sprzedać tajemnice naszego zakonu. (*śmieje się*) Można ich zobaczyć o północy, jak łażą po murach i pojękują.

Wigand z Marburga (*udaje ducha, zamyka oczy i idzie w wyciągniętymi rękami*)

Komtur – Idźmy więc pod stos bez zwłoki.

Wigand z Marburga – Zobaczyć czarownicy uroki?

Chór giermków

Idźmy, Komturze, idźmy,

Płonąca czarownica nam się przyśni,

Kiedy żywy ogień podłożą,

Pójdzie precz...

Komtur – (*żegna się*) ...z łaską Bożą.

Chór giermków (*podrygując*)

Biegnijmy, Komturze, biegnijmy,

Małą czarownicę zabijmy,

Kiedy żywy ogień podłożą,

Pójdzie do Piekła...

Komtur – (*żegna się*) ...z łaską Bożą! (*do Wiganda*) A wiesz ty, mój Wiganduniu, niektórzy mi donoszą, ja tam w ich gadania nie wierzę, że ty nie jesteś moim przyjacielem, tylko jakimś... szpiegiem? (*patrzy przenikliwie na Wigandę*)

Wigand z Marburga – (*przestraszony*) Czyim, panie?

Komtur – Tego jeszcze nie ustaliłem. Myślę, że kiedy zobaczysz płonąca czarownicę, twoja pamięć sama się ożywi i ochoczo mi o wszystkim opowiesz.

Agnes – Pójdźmy lepiej do rycerzy, panie.

(*Komtur chce objąć Agnes, lecz ta zręcznie się uchyła i Komtur obejmuje Wigandę. Na dziedzińcu wjeżdża wóz, ciągniony przez czterech obnażonych do połowy siłaczy, na wozie ustawiony jest stos. Do stosu przywiązana jest piękna młoda dziewczyna. Wóz zatrzymuje się naprzeciw drugich wrót, głośno biją bębny*)

Komtur – Doigrałaś się, mała! Ziota i ogon wrzucałaś o północy do ognia!

Chór giermków

Musisz zrozumieć,

że to niewybaczalna zbrodnia!

(*grają werble*)

Komtur – Przynieś mi tu zaraz, który, pochodnię!

(*Podbiega Kat i usłużnie podaje Komturowi pochodnię, lecz słychać grzmot, zaczyna padać deszcz i pochodnia gaśnie. Wszyscy aktorzy uciekają w popłochu, na scenie zostaje wóz z Małą Czarownicą. Agnes i Wigand pchają go razem w stronę wrót, zaś Komtur przestraszony grzmotami, stoi pod gankiem i się trzęsie*) □

Anna Rau
Odejdź, ciało, zostaw mnie

Wielkie, opuchłe, ciastowate ciało – tak siebie widzi Klara Wiśniewska. Super-Baba. Wszechogarniająca Bogini-Matka. Wzrost: 172 cm, waga: 47 kg, obwód talii: 58 cm, obwód bioder: 83 cm, obwód klatki piersiowej: 80 cm. Klara mówi, że to za dużo, o wiele za dużo – bo chce być NAPRAWDĘ idealna. Jak „manekinka” z wystawy – piękna, strzelista, bez wypukłości, gładka. Klara więc świadomie i dobrowolnie zaczyna pracę nad zmanekinezowaniem swojego istnienia... – oto główny wątek powieści Marty Syrwid pt. „Zaplecze”. Wbrew pozorom jednak nie jest to historia o anoreksji, czyli efekcie finalnym pewnych czynników egzystencjalnych, ale o wiecznym głodzie. Głodzie uosobionym, zimnym i mocnym.

Klara odkąd pamięta, zna tylko głód, który jak choroba dziedziczna opanował wnętrza wszystkich członków rodziny Wiśniewskich. Dziewczynka dorastając więc dzień za dniem mogła obserwować, jak jej rodzice, dziadkowie i krewni wszelkimi sposobami próbują pochłaniać, zagarniać oraz pożerać rzeczywistość. I zaspokajają tę potrzebę wszystkimi znanymi sobie sposobami: od najbardziej prozaicznych przez pożywienie, po te bardziej wyrafinowane – przez zagarnianie cząstek wolnej przestrzeni innych, przez bezustanne absorbowanie uwagi, przez wrzask, nakazy i nagabywanie. Klara również jest stale głodna – i od zawsze pożąda tylko miłości rodziców. W całym tym kontekście jej wstręt do jedzenia i późniejsza anoreksja to początkowo wyraz buntu przeciw rodzinnym oraz szkolnym upokorzeniom, a także nieświadomiony akt autoagresji. Jednak stopniowo i przewrotnie ów głód staje się ratunkiem dziewczyny, która naprawdę odżywa wewnątrz, gdy uświadamia sobie, iż w ten sposób może kontrolować swój mały świat! Tylko tak, przez odcięcie się od wszystkiego, co stare – w tym od jedzenia. Chudość, czyli widzialny objaw podporządkowania głodowi, jest dla niej tożsama z czystością ciała i duszy, a uczucie „fizycznej pustki” – z doświadczaniem katharsis. Wreszcie – głodząc się i ćwicząc (żeby zając czymś i ukształtować przy okazji protestujące ciało) – może ignorować psychopatycznego ojca, histerię i obojętność swojej matki, może porzucić swoją szkolną „przyjaciółkę”-cwaniarę, gdyż jest tak silna w swej słabości, że już nikogo nie potrzebuje. Paradoksalnie w ten sposób przedstawiony głód zaczyna być dobry, coraz lepszy: czyni wszystko czystszy, prostszy, lżejszy, klarowny. Klara staje się coraz bardziej jasna, czysta, lekka, klarowna. Po pewnym czasie ma kości jak ptak, włosy jak pajęczyna, oczy wielkie jak sarna i wykwinne kości policzkowe, i artystyczne nadgarstki, i budzące podziw zębra. Jest lepsza niż inni: nie je – nie musi jeść – już nic nie musi. Zamiast mózgu ma kłębek, zamiast żołądka ma kłębek, zamiast siebie ma wewnątrz kilka kobiet. Pierwsza jest bajecznie szczupła i wzbudza powszechną zazdrość swoją niezmierną pięknnością. Druga siedząc w kucki bezustannie się kotłuje, gdyż ciągle się boi i płacze, i łaknie, i pra-

gnie akceptacji. Trzecia czuje nieskończony głód, straszny wilczy głód, który szarpie jej wnętrze. Czwarta stoi nieruchomo z szeroko otwartymi ustami i tylko krzyczy. Piąta się miota od ściany do ściany, i objada się, i rani... Klara-narratorka całą swą historię opowiada Klarze – której? Szóstej? – łagodnemu dziecku, któremu ojciec wsadzał twarz do talerza i kazał żreć? Siódmej? – takiej, jaką byłaby, gdyby ją kochano i przytulano? Ósmej?... Syrwid ukazuje w ten sposób ciekawe połączenie dwóch stanów chorobowych – anoreksji i schizofrenii. Lekarze i psychologowie szukają przyczyn zaburzeń odżywiania w zanizonym poczuciu własnej wartości, w uszkodzonym ośrodku głodu i sytości, w stresie, w odrzuceniu, w urazie z dzieciństwa. Klara tłumaczy to sobie inaczej – pragnieniem doskonałości. Widzi, że z każdym ubywającym kilogramem jest coraz piękniejsza, zdrowsza, osiąga coraz wyższy stopień perfekcji. Powrót do normalnego jedzenia oznaczałby możliwość chaosu, za to anoreksja to kontrola doskonała, gdyż zbiera wszystkie zakładki życia i wszystko podporządkowuje jednemu. Głód jest doskonały. Jest ciszą, niepodległością, oderwaniem od wszelkich zależności, jest wspaniałą Innością. A na tym najbardziej Klarze zależało – aby (nie daj Boże) nie być podobną do ojca, matki, babek. Wielkich, wiecznie głodnych, hałaśliwych, szybkich, pazernych. Klara ucieka więc w końcu w głód totalny, gdyż chce, aby zdominował jej życie – i uczynił ją Inną. Motyw procesu transformacji jest bardzo ważny w powieści Syrwid: Klara w końcu rodzi się na nowo, likwidując „brzuch, tłuszcz na udach i gruby tyłek” – choć nadal je widzi. Widzi siebie jako skażoną ciałem kaleką istotę, stopniowo coraz doskonalszą, motylą, tak lekką, iż unoszoną przez niewidzialne nitki w powietrzu – lecz jeszcze ciągle za mało nieważką. Straszny jest świat Klary, ale ona triumfuje. O dziwo w ten sposób okazuje sobie miłość i szacunek – innych metod nie zna, i – o dziwo – w jej oczach metoda kochania siebie głodem sprawdza się. Na końcu, gdy jej nowa powłoka jest niemal doskonale ukształtowana, „bierze poprzednią siebie za ramiona i rzuca o ścianę, i zamyka”. Dopóki widzi się w lustrze, ona – skórzany worek pełen kości – wie, że nie osiągnęła jeszcze pełnej doskonałości. Jest profesjonalistką – pedantyczną, zdolną, ciężko pracującą. Klara myśli, że dzięki fasoli, kalafiorowi i marchewce w ściśle określonych kilkudziesięciogramowych porcjach zbawi swój świat i wszystko zmieni... Owszem, na końcu mówi, że było warto, bo może latem pokazywać na plaży wkleśły brzuch, bo chłopaki z dzielnicy na wyścigi do niej wydzwaniałą o randki, bo ma czas na naukę i najlepsze stopnie. Ale czy globalnie coś w jej życiu się zmieniło? Olsztyn jako dość dokładnie opisane tło całej historii do końca pozostał mały i ohydny, zawężony do kilku brzydkich, szarych miejsc. Ojciec Wiśniewski nadal żyżywa się na swojej rodzinie – choć ostatecznie skupił się na młodszym bracie Klary, Olku – i jest autentyczną jednostką destrukcyjną (ale – co ciekawe – rejestruje to tylko jego córka). Relacje między mężczyzną

a jego żoną są z ich punktu widzenia ogólnie poprawne. Kobieta jest całkowicie bierna, nie kłóci się z mężem, dla niego się stroi, codziennie podaje mu posiłki, rodzi mu dzieci. Tzw. „momenty trudne”, czyli chwile, kiedy mężczyzna zdenerwowany drobiazgami wyżywa się na dziewczynce, traktuje ze zwierzęcą pokorą. Wydaje się w ogóle nie dostrzegać problemu Klary ani chorobliwego charakteru swojego związku z mężem. Nadal w obliczu każdego problemu każe dzieciom milczeć lub sama bez słowa wychodzi. A w ogóle może Klara kłamać?!

Niektórzy krytycy nazywają powieść Marty Syrwid „poetycką”, jednak nie ma nic z poezji w bezlitosnych, surowych opisach walki młodego organizmu z samym sobą oraz zdeterminowanego umysłu – z instynktem przetrwania. Syrwid taką narracją szarpie czytelnika – szarpie jak głód – prostymi zdaniami lub wręcz równoważnikami. Czytelnik jednak nie czuje się głodny. Czasami wręcz odczuwa przesyt... A „sytość kończy się wieczorem. Zaspiając ssę róg poszewki. Chcę obudzić się następnego dnia popołudniu. Na czas obiadu”.

Czy anoreksja jest naprawdę dziś tak przerażająca? A może normalna, zwyczajna, oswojona? Nie ma nic ohydneho w opisach Klary, która z dumą na końcu oznajmia, iż przy 170 centymetrach waży 40 kilogramów. Przecież telewizja pokazuje prześlizgające się dziewczyny, które wychwalają „używane codzienne kremy wybitnie i dogłębnie przeciwmarszczkowe”, modelki, które wystawiają wśród jedwabnych koszulek maksymalny rozmiar 32, a może nawet mniej, stojąc na niebotycznie długich, łapanych kamerą od dołu nogach. I taka jest w opisach Klara... Można więc w kółko czytać opisy Syrwid o krostach na głowie od nadmiaru papryki, o pomarańczowej skórze od półtora kilograma marchewki dziennie, o fuszczącej się skórze – a i tak bardziej przeraża obraz starzejącej się prababki Julii, która chomikuje po szafach stęchłe powłoczki, ścierki i czekolady. Nic nie jest tak ohydne w „Zapleczu” jak ta odarta z wszelkiej godności starość i w końcu śmierć „obłożona stosem śmieci”. Klara by umarła prosta i czysta jak kość. Pusta z pustką. Na własne życzenie, z wyboru, z uporu, z głodu. Więcej przejmującej bezlitości Syrwid zastosowała w opisie starej kobiety, która „głodowała w piątki i niedziele, żeby jak najmniej jeść, żeby oszczędzać i wydawać na pielgrzymki”. Z obsesją kradzieży, wiecznym niedomyciem i gromadzeniem wypadłych włosów w podartych reklamówkach. Żeby nic nie stracić. Bo Głód. □

Marta Syrwid, „Zaplecze”, Warszawa, W.A.B., 2009.



Suchoryt Aleksander Woźniak



Aleksander Woźniak

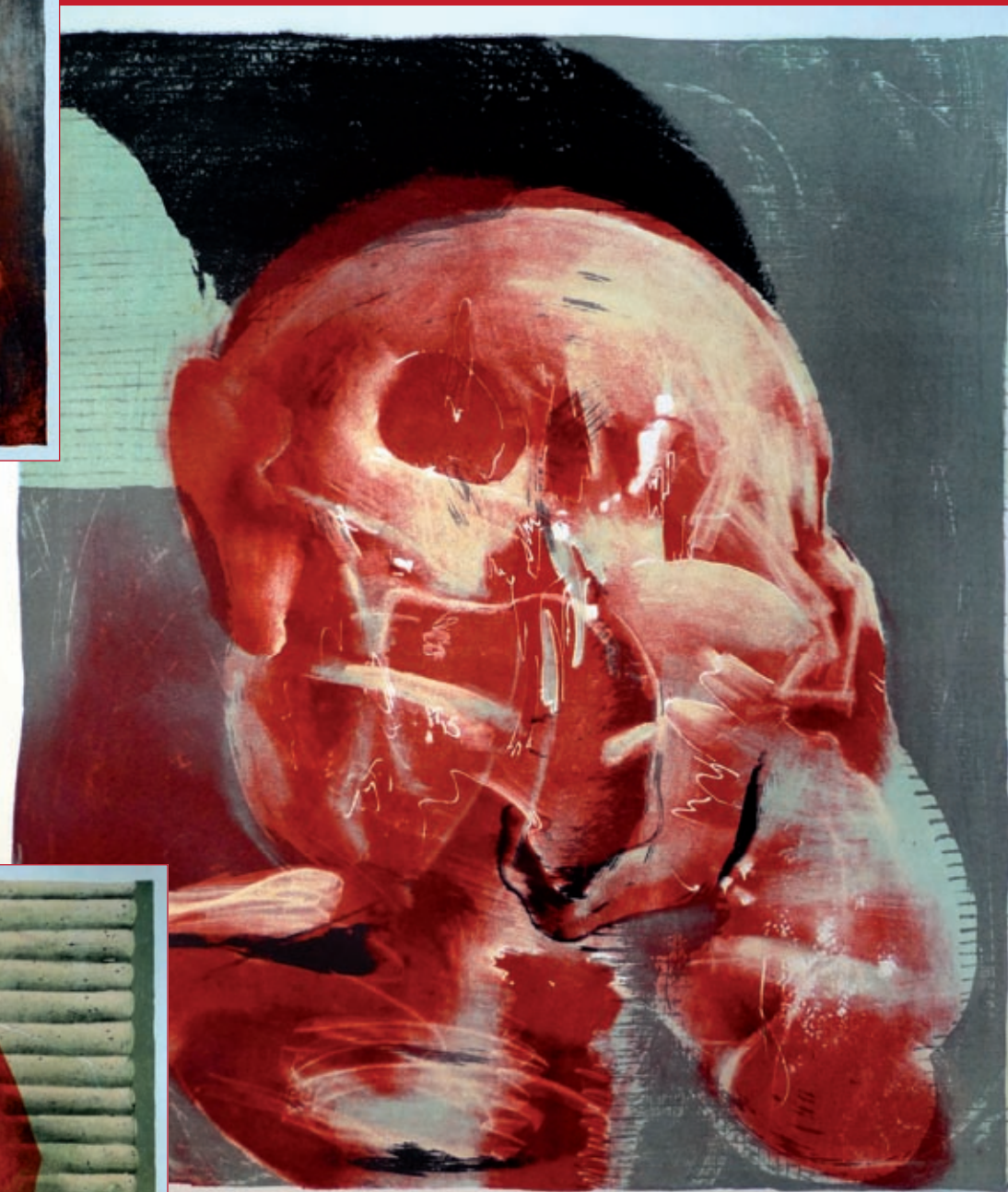


Aleksander Woźniak
prace z cyklu Portrety 2004
litografia barwna z kamienia.

Aleksander Woźniak, ur. w 1978 r.
Adiunkt w pracowni grafiki warsztatowej
na Wydziale Sztuki UWM w Olsztynie.
Zajmuje się klasycznymi technikami graficz-
nymi, m.in. litografią, suchą igłą, drzewo-
rytem.

Tematyka prac artysty koncentruje się obsesyjnie wokół przedstawiania postaci ludzkiej.





Wofmich 2005

Waldemar Tychek

KAMIEŃ ELEUZYJSKI

p r o z a

Była pierwsza w nocy, gdy zadzwonił telefon.

Roman spał spokojnie, ale już od pewnego czasu do jego snu dobijał się obraz, który wywoływał niepokój. We śnie widział swoją córkę, Alicję, stojącą obok nieznanego mu mężczyzny. Mężczyzna, jakby grając rolę w jakimś filmie, zmrużył oczy i wskazując palcem słońce, powiedział:

- Zobacz... Spójrz, jak pięknie płonie słońce!

Z nieba lał się żar, ale w tej lunie można było dostrzec pasma szarej i gęstej jak smog fali. Powietrze nad głowami z każdą chwilą ciemniało, wibrowały, nie wiadomo skąd przybyłe tu, drobinki popiołu.

- Nie bój się – mężczyzna spojrzął na stojącą obok Alicję. – Słońce będzie teraz w nas. To tak jakbyś – uniósł głowę do góry, twarzą w kierunku szarzejącego nieba – ...jakbyś spopielita ciało kogoś tobie bliskiego i ten popiół osiadałby na tobie i ożywał za każdym razem, gdybyś tylko go wspomniała.

Fala objęła Alicję i dotarła do Romana. Jak urzeczony wpatrywał się w tę tęczę rozszczepionej szarości. Coraz trudniej było oddychać. Rozejrzał się po okolicy. Alicja wydawała się bliska płaczu, a on nie mógł przyjść jej z pomocą. Na dalekim wzgórzu mężczyzna, który dotąd jej towarzyszył, skurczył się do postaci kartla i obserwując ją z oddali chichotał zakrywając usta dłonią.

I wtedy doszedł jego uszu niecierpliwý dźwięk telefonu. Zerwał się z łóżka i chwycił słuchawkę.

- Słucham!

- Tato – to był głos jego córki. – Tato... zabierz mnie stąd, proszę... tato... proszę cię... tato...

Roman nagle oprzytomniał.

- Alu, kochanie, wszystko będzie dobrze, powiedz, gdzie jesteś, a ja zaraz po ciebie przyjdę.

- Tato... szybko... tak bardzo się boję – Alicja powtarzała w kółko te same słowa, jakby go w ogóle nie słyszała.

Po chwili połączenie zostało przerwane.

Alicja z matką, jego byłą żoną, mieszkały w odległej dzielnicy. Roman widywał się z nimi od czasu do czasu, jednak trzeba przy-

znać, że zbytnio nie zabiegał o te kontakty, ale teraz... teraz wszystko się zmieniło. Wystukał numer mieszkania żony. Odebrała dopiero po minucie.

- Słucham.

- Marta – starał się opanować, ale wiedział, że drżący głos na pewno go zdradzi. – Marta, czy... wszystko w porządku? Wiem, że późno i w ogóle, że ci głowę zawracam, ale... – chciał jej powiedzieć o tym dziwnym telefonie, jednak doszedł do wniosku, że to nie miałyby większego sensu. – Sprawdź, proszę, co dzieje się w jej pokoju, albo nie... poproś ją do telefonu.

Marta podniosła głos.

- Czyś ty oszalał? Jest godzina prawie druga w nocy, a ty każesz mi budzić dziecko, bo sobie teraz nagle o nim przypomniałeś? Właśnie teraz!?! W nocy?! Daj nam spokój!

Roman zamknął oczy i w dziwnym ukojeniu zarejestrował trzask odkładanej z wściekłością słuchawki. Uspokajał się myślą, że skoro rozmowa przebiegła w takim tonie, to wszystko musiało być w porządku. To był tylko sen.

Przywołał obraz mężczyzny na wzgórzu i natychmiast zapadł w głęboki sen. Sylwetka skurczyła się do postaci uschniętego pnia. Chichot przeszedł w echo. Na całą polanę sywał się popiół. W powietrzu czuć było ozon jak po burzy. Romanowi wydawało się, że gdzieś z oddali dobiega nawet grzmot, ale nie był pewien.

Wyciągnął ręce i osunął się na kolana. Na stalowoszarym niebie tkwiło czarne słońce, a w dole jakaś grupa ludzi tańczyła w wielkim kręgu. Wśród nich dostrzegł także Alicję. Ludzie ci poruszali się w tańcu przypominającym pielgrzymujący marsz i kołysali na boki w rytm dobiegającej zewsząd muzyki. Ich rozkołysane sylwetki przywodziły obraz rozwieszonych na sznurze do przeschnięcia długich, nocnych koszul. Tak, ci ludzie byli płascy jak materiał albo w jakiś znany tylko sobie sposób potrafili się za tymi koszulami ukrywać. Tak. Dokładnie pasowali do swych okryć. Postaci miały ręce wzniesione ku górze, a zamiast głów czarną plamę, plamę ciemniejącą od słońca. Pośrodku doliny płonęło ognisko, ktoś grał na skrzypcach jakby specjalnie niedostrojonym smyczkiem. A jednak ta muzyka, ten rytm, koła i przyzywała Romana ku dolinie. Czuł, jak z oczu płyną mu łzy. Chciał być tam, na dole, tańczyć ze wszystkimi, ale nie



miał na tyle siły, by podnieść się z klęczek. Obserwował tańczących mając cichą nadzieję, że ktoś z tego kręgu dostrzeże jego skuloną postać i zbliżwszy się bezszelestnie ujmie za ramiona i poprowadzi do innych, do tego kręgu i ogniska, którego płomienie nie odbijały się w niczyich oczach, a żar nie rozgrzewał.

Dzwonił telefon. Znowu dzwonił telefon. Otworzył oczy i podniósł słuchawkę.

- Tato... – przerażony usłyszał. – Tato... zabierz mnie stąd... proszę... ja tak bardzo się boję... tu jest tak zimno... proszę.

Spojrzał na zegarek. Dochodziło w pół do trzeciej. Odruchowo wybrał numer swojego starego mieszkania. Wstukował numer kilkakrotnie, z coraz większą zapalczywością, ale za każdym razem odpowiadała mu cisza. Ogarnięty paniką ubrał się szybko i zbiegł po schodach. Stary, wysłużony Fiat z początku poburkiwał niechętnie, ale w końcu polknął na tyle paliwa, by odpalić.

Drzwi wyglądały na zamknięte, ale złowrogie przeczcucie mówiło mu, że się myli, że wystarczy je tylko lekko pchnąć. Nawet nie zakrzywiały. W holu było mroczno. W kącie pokoju, oświetlony refleksami światła dochodzącego zza żaluzji, odbijał swój cień stary fikus. Liście układały się na kształt wielkich dłoni.

Sypialnia wyglądała, jakby nawiedził ją niedawno jakiś szaleniec. Książki, a także powyrywane z nich stronicy, walały się po dywanie pośród resztek szkła z rozbitych kryształowych waz i rżniętych pamiątkowych kieliszków. Resztki płótna z jaśków rozsypały się wokół osiadającego majestatycznie pierza, a na środku, w wypalonym niewielkim zagłębieniu leżał, udając niewinność, odłamek skalny. Gęstniejący przy podłodze dym sączył się z tej skamieliny, unosząc na wszystkie strony, szary i lepki w zetknięciu z ciałem, popiół.

Nigdzie ani śladu Alicji i Marty.

Roman zacisnął mocno powieki i obraz, jaki ujrzał, wstrząsnął całym jego ciałem.

Widział siebie tańczącego w wielkim kręgu. Rozejrzał się na boki i wtedy ujrzał córkę. Stała samotnie, z boku. Na jej twarzy wciąż osiadał popiół. Patrzyła na niego, nie był jednak pewien, czy go widzi. Starał się wysunąć z kręgu, zwalniał tempo, nic to jednak nie dało. Wrósł w jedność. Z uczuciem nieuchronnej przegranej jeszcze raz spojrzał w jej stronę i wtedy ujrzał tę postać. Za plecami

Alicji stał niewiele od niej wyższy karzeł o zdeformowanej twarzy starca i chichotał osłaniając usta długim kikutem pozbawionym palców. Drugi kikut, w którym jak szpikulec, tkwił jeden palec z zakrzywionym szponem, wycelował w jego stronę i nadal kaszłał urywanym, astmatycznym śmiechem. Od tej pokurczonej postaci szła fala gorąca przesyconego smrodem zasikanych pieluch i niestrawionego jedzenia. Niżej, na króciutkich, pozbawionych kolan, nogach tkwiły masywne ortopedyczne buty. Stwór zaśmiały się wciągając ze świstem powietrze. Z wyszczerzonych w grymasie wysiłku ust wypadł długi, pokryty gęstym, żółtym śluzem, jęzor. Karzeł przechylił się na bok, zatrzepotał kikutami i niezdarnie dostawił jedną nogę do drugiej. Stał teraz tuż za Alicją i wznosił nad jej głowę swój jedyny szpon. Za sobą i po bokach Roman nagle wyczuł bezruch. Nie było już tańczących, tylko ten pokurcz z wzniesionym nad Alicją kikutem. Karzeł jeszcze przez chwilę obserwował go z dobrotliwym wyrazem ciekawości, a potem, z westchnieniem ulgi, opuścił ramię w dół. Rozległ się cichutki chrzęst łamanych kości, jak zgniecenie owocu wiciokrzewu, trysnął sok. Gdzieś z oddali doszedł jęk zawodu lub bezbrzeżnego zdumienia. Roman odwrócił się w tamtą stronę. Na wzgórzach błąkała się jakaś kobieta z twarzą ukrytą w dłoniach.

Nagle znowu zadzwonił telefon. Roman drgnął, ale nie sięgnął po słuchawkę. W odrętwieniu przesiedział jeszcze minutę, gdy usłyszał trzask automatycznie włączającej się poczty głosowej i z niedowierzaniem rozpoznał swój głos:

- Alu, kochanie, wszystko będzie dobrze, powiedz, gdzie jesteś, a ja zaraz po ciebie przyjdę. □



Rys. Przemysław Poskrabko

Olsztyńskie daemones loci

Allenstein – jądro szaleństwa

Z pewnością mijaliście ten pomnik wielokrotnie – stare nagrobki bez tożsamości, strzępek zardzewiałego krzyża z pocieszającym cytatem: die Liebe höret nimmer auf – MIŁOŚĆ nigdy nie ustaje. Tablica pamiątkowa przypomina o dawnym cmentarzu („Pamięci wszystkich pochowanych w Kortowie”), który znajdował się na terenie szpitala psychiatrycznego, zwanego wówczas zakładem dla obłąkanych, i stał się miejscem spoczynku mordowanych masowo podczas II wojny światowej pacjentów. Tych, którzy z jakichś przyczyn przeżyli, pozostawiono podobno na pastwę MROZU w zamkniętym wagonie na bocznym torze nieopodal dworca zachodniego. Nieudana „ewakuacja”. Tak zakończył swoje istnienie Irrenanstalt Kortau wybudowany pod koniec XIX wieku w prowincjonalnym mieście Allenstein gdzieś w Prusach Wschodnich.

Jednak zanim jego historia się dokonała, zakład dla obłąkanych Kortau był świadkiem ponurego pseudo-eksperymentu, opisanego w pamiętniku jego nieświadomej ofiary, Jürgena Schlichtingera, młodego psychiatry pracującego na oddziale żeńskim. Zapiski te kilkadziesiąt lat później odkryje w miejskim archiwum olsztyński pisarz Paweł Jaszczuk i wyda jako „Testament”...

Historia ta rozgrywa się w przededniu I wojny światowej. Do zakładu dla obłąkanych trafia Anna, młoda kobieta zgwałcona przez męża podczas nocy poślubnej. Schlichtinger, obiecujący adept psychiatrii, staje się obiektem ekscentrycznego zakładu dwóch znużonych przełożonych: dra Hirscha i dra Fitzenratta. Ta przesiąknięta dekadencją duszą, mimo wychowania w pruskim drylu przy pomocy nieocenionej „sarniej nóżki wiszącej przy drzwiach kuchni”, pogrąża się w świat pozorów, majaków i dziwactw. Ucieknie z dotkniętą afazją i amnezją Anną, ale zanim to zrobi, będzie wsłuchiwał się w monotonne, hipnotyczne wykłady dra Hirscha i stopniowo ulegał wykreowanej przez niego iluzji. By „pomóc swej pamięci”, stworzy fantomowy wizerunek ukochanej – kukłę z koca i prześcieradła, pończoch wypchanych watą, zdjęć i ukradzonej niebieskiej chustki. Będzie do niej przemawiał, otwierał dla niej szampana, klócił się nią i kochał (tak! kochał „trzy noce bez opamiętania”), dopóki nie zniszczy jej Hilda, maniackalna pielęgniarka o skłonnościach masochistycznych.

Ona właśnie, oddziałowa Hilda, wprowadza nas w świat, w którym trudno rozróżnić lekarza i pacjenta – na co dzień wyniosła, wzorowa pielęgniarka, wieczorami ćwiczy swe ciało podwójnym sznurkiem w rytm melodii płynącej z patefonu... Na kartach „Testamentu” pojawia się ponury korowód osobliwości Kortau: agresywne, niby opętane kobiety, samobójczynie, oniemiałe ofiary przemocy i obłądki, zdziwaczały nauczyciel greki, sfrustrowany pielęgniarz z problemem alkoholowym, podkradający spirytus i podglądający chore

w kąpeli, trzech chłopcy zahipnotyzowani przez cyrkowego szarlatana, tajemnicza Walkiria, która w Kortau jest „esencją czasu” i pewnej nocy „niczym zjawą w podniesionej do kolan koszuli” przepowiada wielką wojnę... Prym wśród kortowskich mar i dziwadeł wie dzie szef oddziału kobiecego, dr Hirsch, szarlatan o skłonnościach do ezoterycznych praktyk (jak się okazuje jeden z wielu w Allenstein!), skrywający swoją słabość do tarota. Systematycznie wprowadza w trans swojego młodszego kolegę, podsuwa mu odpowiednie przemyślenia, kieruje jego uwagę na Annę, namawia podwładnych do udziału w swoim, jak sam przyznaje, „czym eksperymencie”. Nie ma przy tym „etycznych obiekcji”, bo ważne jest „jedynie drobne zadowolenie, że Fitzenratt przegrał”...

Na stronach „Testamentu” Kortau skażone jest obłądkiem. Tu szaleństwo wkrada się do naszych głów niczym małe, czarne rybiki, wślizgujące się przez skórę, wysysające z nas resztki rozsądku i opuszczające nasze ciała, gdy nie są im już więcej potrzebne, jako krwawy śluz z oczu i nosa.



Olsztyn – złodowacenie uczuć

Po terenie kortowskiego byłego cmentarza chodzić będzie wiele lat później Beata Dębska, młoda chemiczka pracująca w olsztyńskiej szkole wyższej, bohaterka powieści „Zmarzlina” Tomasza Białkowskiego. Błyskotliwa kariera naukowa, mąż na odpowiednim do czasów stanowisku (oficer SB) – doskonała powłoka skrywa mroczną tajemnicę Beaty: obłąkańczą miłość do syna, która z obsesyjnej troski przeradza się w zaborcze pożądanie i kończy kazirodczym związkiem. Po zniknięciu Adama, który ucieka zagranicę przed wojskiem, Beata popada w manię prześladowczą. Jest przekonana, że ojciec chłopaka śledzi ją, więc usuwa z mieszkania większość mebli, podejrzewając, że zamontowano w nich „urządzenia podsłuchowe wysokiej klasy”. Zrywa parkiet, ponieważ widzi zamontowane między klepkami tajemnicze kabelki, kupuje aparat słuchowy, by wytropić agentów wysłanych przez byłego męża. Żyje tylko po to, by chronić Adama – dziwaczeje, zaniedbuje pracę.

Na przeciwnym biegunie jej świata, w mroźnej krainie bez uczuć żyje Piotr – owoc kazirodczego związku z Adamem. Beata wiele razy próbuje go zabić lub choćby „uszkodzić” – chory na mukowiscydozę chłopak jest jako niemowlę podtruwany miodem, a później cyklamenem perskim. Uzależniona od syna po udarze mózgu Beata zamienia jego życie w udrękę, ponure bytowanie wśród zapachu odchodów i wiecznych podejrzeń. Dominantą ich życia są wzajemne złośliwości i obustronna bezsilność. Chłopak próbuje uciec z pułapki, zabijając matkę – pewnego zimowego wieczoru wywozi ją z mieszkania i zostawia na peronie kolejowym.

W świecie Białkowskiego MIŁOŚĆ nie jest już możliwa, jego bohaterowie są emocjonalnie okaleczeni. Piotr nie potrafi pokochać żadnej z kobiet, z którymi żyje (nie potrafi pokochać nawet kota). Przykrywa go lód, zmarzlina, którą tylko matka mogłaby rozpuścić swym ciepłym dotykiem. Ale właśnie ta sama zmarzlina, która nie pozwala mu kochać, pozwala mu istnieć, trzyma go „w jednym kawałku”, bo gdyby zniknęła, „zacząłby się topić, kurczyć, zniknąłby całkiem”.

Inspiracją dla powstania powieści była niewielka wzmianka w prasie: ktoś zostawił człowieka na wózku inwalidzkim w pobliżu dworca głównego. Był MRÓZ.

Sylvia Bialecka

Michalina Janyszek-Kujawa

(z cyklu: chorobowe)

endogenna psychoza agresywna

co noc chorobliwie się darła
krzykiem opadały z niej kurwy
szmaty pasów sprali terapeuci
spod ciemnej dyżurki
na nas też dybali więc szliśmy
sucho
objijając echem jej głowę o łóżko
regularnie niejeden próbuje zdusić tę reakcję
chemicznie ręcznie czy innymi środkami

pomocy

choroba afektywna jednobiegunowa

została po niej notatka:
*chodzę teraz dołem który fundnęła mi rodzina
i przyjaciele w ostatniej uwadze nie zrozumcie
jak świadomie wybieram
że zajdę teraz za daleko*

*podobno dużo myślę jak choroba
się truje dusi i podcina do jednego efektu*

paranoja

zakochała się w jakimś grzegorzku z innej twarzy
zawsze potrafiła go odpisać i połączyć w rysy
na konkretnej klawiaturze
budując przekonanie że zastąpił jej męża
w dowodzie osobistym pokazywała ślady po kablu
(na szyi) zapisane archiwum

schizofrenia paranoidalna

w krytycznym momencie wyjechał do Niemiec
jako wcielony Hitler parę dni później był przypadkiem
w szpitalu nie mogąc przestać myśleć
wsluchiwał się w siebie jak nadajnik radiowy
opowiadał za tym wszystkich
nastawiając się na fale wrogów
tak trafił i przegrywa nadal



Anita Romulewicz „Rzekomo żona zamierza męża brzytwą zarżnąć”

E. Sukertowa-Biedrawina, O diabłach mazurskich

Istnieje wiele gatunków literackich, które oferują tzw. dreszczyk emocji. Zmrozić krew w żyłach może dobry horror czy thriller. Miłośnicy powieści historycznych nie zawiodą się na romantycznej grozie w stylu gotyckim, a i świat fantastyki pełen wampirów czy demonów może się przyśnić. A co wspólnego z tym wszystkim ma niewinna bajka czy baśń? Słodkie krainy kreowane z myślą o najmłodszych są z reguły postrzegane jako przestrzeń bezpieczna, nawet jeśli pod chatkę Śnieżki skrada się jędrza z jabłkiem w garści.

Bajki to twory ludzkiej wyobraźni, zrodzone często z lęków przed nieznanym, obcym czy potężnym. Ubrane w barwny płaszcz symboli, przenoszą przez wieki nasze archetypowe szczęścia i nieszczęścia. Niewielu zdaje sobie sprawę, że tym samym niewidzialną ręką bronią nas przez złem. Dzieje się to dyskretnie, bo przez pryzmat świata „na niby”. Już jako dzieci zauważamy, że istnieje śmierć, okrucieństwo, krzywda czy niesprawiedliwość. Uczymy się wówczas w bezpiecznym zaciszu własnego domu konfrontować owe okropieństwa z lukrowanym światem, jaki pozwalają dostrzegać troskliwi rodzice. Nawet przerażające sceny z udziałem małych dziewczynek zamykanych w nabijanych gwoździemi beczkach, czy odcinających sobie płace u stóp dla „kopciuszkowego” pantofelka, nie rodzą traumy na całe życie. Dlaczego? Bo to tylko bajka, w której i tak dobro zwycięży, a cierpienie jest przecież karą zasłużoną.

Wielu dorosłych wie, że dzieci lubią się bać i straszyć nawzajem opowieściami o „czarnych rękach”. To dlatego, że zachowują dystans do opowieści nawet przeraźliwie krwistych, ale jednocześnie absolutnie nieprawdopodobnych. Radość i ulga ze spalenia Baby Jagi rodzi się przecież w innych warunkach niż lzy i poczucie grozy wywołane śmiercią małej Rozalki włożonej do pieca na trzy zdrowaśki. Poza tym zamykanie na siłę drzwi do dziecięcego świata wyobraźni pełnego rozmaitych emocji nie zwalnia najmłodszych od konfrontacji z przykrą prawdą o świecie. Czego zatem można oszczędzić małym czytelnikom? Okrucieństwa i zła nazbyt realistycznego.

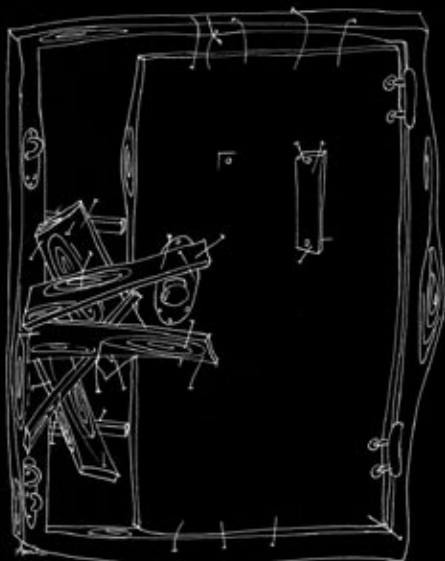
W baśniach, które niejednokrotnie rodziły się w oparciu o podania, przetrwały takie realistyczne obrazy zła. Także literackie opracowania ludowych przekazów z Warmii i Mazur odwołują się do źródeł lęku i przejawy barbarzyńskich instynktów. Tu historia i los prostych ludzi dyktowały wątki. Nie brak zatem okrutnych panów i ciemnych sług, morderców i ich niewinnych ofiar, brutalnych najeźdźców i równie bezwzględnych mścicieli. Są też wśród regionalnych baśni przejmujące opowieści o żniwach śmierci, które poruszają swoją dosłownością. Ból i niesprawiedliwość dotykają zarówno słabe kobiety i bezbronnych starców, jak i niemowlęta. Tragizmu okaleczania ciał dopełnia bezsens tortur. Z dzisiejszej perspektywy nawet nieludzki stosunek do „braci mniejszych” oburza.

Oczywiście stopień nasycenia okropnością jest różny w podaniach i baśniach, które na nich wyrosły oraz w opowieściach magicznych, „skrojonych” na miarę małego człowieka. Tak jak historie braci Grimm zostały zaadaptowane, tracąc swój okrutny wymiar, tak też twórczość baśniowa lokalnych pisarzy jest często „gładką” wersją swoistych kronik kryminalnych dawnych epok. Takie są chociażby warmińskie baśnie i legendy Marii Zientary-Malewskiej oraz mazurskie bajki literacko opracowane przez Emilię Sukertową-Biedrawinę. I daleko im do łagodności legend Ireny Kwinto, gdzie najbardziej przerażającym czynem jest wytarganie za uszy kłobuka.

A jednak są zbiory, w których „straszy” i od których robi się nam nieswojo: bajki zebrane przez Marynę Okęcką-Bromkową w tomie „Nad jeziorem bajka śpi”, podania z Mazur „Tragarz duchów” i „W cieniu zamkowej góry” czy niesamowite „Mazurskie opowieści” Jadwigi Tressenberg. Kara za winy jest tu z reguły bezwzględna: złodziejom odcina się ręce, a nawet głowy, które „po wszystkim” porzuca się w sieni, gdzie krwawią do rana. Za złe wychowanie syna, który morduje, rabuje i pali, czeka rozdzieranie końmi – na przestrożę innym rodzicom. W okolicach cmentarzy pełno jest drzew, takich jak to z Pozezdrza, które od często zarzucanych sznurów wisielczych ma nienaturalnie powyginane gałęzie. Na pospolitych przestępców czeka zaś fosa zamkowa nabijana stalowymi szpikulcami, do której ciemną nocą spychani są zloczyńcy.

Lecz zabójstwa to nie tylko wymierzanie sprawiedliwości. U Okęckiej to brat brata siekierą uśmierca, karczmarz własnych gości zabija dla pieniędzy, zaś kupiec ze sługą z premedytacją planują niewinnego Jasia za pomocą sztyletu „sprzątnąć ze świata”. Ktoś inny chce wsadzić chłopaka w beczkę z wybitym szpuntem, „zaklepać” go w niej żywego i „puścić na torfiaki, niech sam zemrze”. Lecz bywa, że i ofiara reżyseruje własną śmierć: „Gdy utniesz mi głowę jednym cięciem, wtedy będę od razu martwy, a to dla ciebie żadna uciecha. Musisz zabijać powoli, najpierw utnij mi prawe ramię, potem lewe, później nogi i na końcu głowę. Wtedy będziesz zadowolony”.

Sprawcy makabrycznych zbrodni niekiedy nie poprzestawali na samym akcie zabijania. W legendzie o Wyspie Pożeracza Serc zapisał się obłąkany człowiek, który rytualnie bezcześcił zwłoki swoich ofiar. W trzy dni po pogrzebie szedł na miejsce pochówku, odnajdywał świeżą mogiłę ozdobioną jeszcze kwiatami, rozkopywał grób, wyciągał trupa z miejsca jego wiecznego spoczynku, po czym wiół na pobliską wyspę. Tam wydierał serce, po czym wracał na cmentarz i zacierał ślady. Żył w przeświadczeniu, że osiągnie tym sposobem wszechwiedzę, gdy tylko zje dwunaste serce. Ale i są legendy, w których do profanacji zwłok dochodzi z wyjątkowo przyziemnych pobudek, jak ta o grabarzu, który odgryza palec zmarłej, by ukraść jej pierścień.



Sugestywne opisy zwłok pojawiają się też w podaniach o czarnej zarazie, która dziesiątkowała całe wsie i miasta. Przywleczona na Warmię i Mazury dżuma zbierała tak straszliwe żniwo, że niemożliwe było, aby kolejne pokolenia o niej nie usłyszały. Ofiarami padali bowiem wszyscy: „starzy, bialki i mężczyźni w halucynacjach z gorączki i głodu, dzieci o szerniałych rączkach. Ich martwe ciała wywożone na wozach wypełnionych słomą, ułożone byle jak, często bosc, w lichej i skąpej odzieży sunęły gdzieś za miasto”. A ponieważ pustoszały całe wsie, panował głód, na mogiłkach brakowało miejsca, z czasem nie było też komu grzebać zwłok. Już tylko długie rowy za murem cmentarnym przyjmowały tych, którzy umierali w osamotnieniu.

Lęk przed śmiercią, chorobą, cierpieniem czy utratą bliskich to jeden z silniejszych budulców baśni. To on zapisał na kartach opowieści ludowych sceny o nowo narodzonych dzieciach, sprzedawanych przez matki dziwnym kobietom, które wypijały z nich krew, a pomordowane ciała dziecięce rzucały do lepkiego błota. W podaniach z Warmii i Mazur obecny jest także motyw latańca, ducha przynoszącego bogactwo i szczęście w domu. Aby go przywołać, należało zakopać zmarłe nieochrzczone niemowlę pod progiem na siedem dni.

Okrutne, bo zupełnie jak nie z baśni, są historie o bezlitosnych gospodarzach, brutalnych mężczyznach czy ludziach bez serca, dla zabawy igrających z życiem i zdrowiem słabszych. W bajce o „Czerwonych butach” rybacy namawiają naiwnego i głupiutkiego chłopaka na przejście boso po zamrzniętym jeziorze Śniardwy, co kończy się odmrożeniem nóg. Gdzie indziej ktoś ze strachu przed diabłem okłada drągiem knura, aż do połamania żeber, murarz ze złości rzuca świnia o most, aż wybija nią dziurę, pastuch tłucze brząkalcem (tj. żelaznym dzwonkiem) bydło „w łeb, by było posłuszne”, zaś woły smaga batem do krwi.

Jednak najczęściej to strach przed przemocą i paralizujące poczucie bezsilności wobec zła znajdowały ujście w świecie legend i baśni.

Bo tylko tam mogły być głośno wypowiedzane żale na krzywdę i niesprawiedliwość. Przejmująca jest „Legenda o Klimkowymdole pod Brąswaldem”, gdzie los odbiera kobiecie męża, przynosząc jedynie głód, łzy, ciężką pracę w polu i troskę o chore na dżumę dzieci, pozostawiane bez opieki w dziurawej chacie. Zaś tragizmu jej sytuacji dopełnia gospodarz bez serca, wypędzający do pracy gromadę ledwie żywych istot, skazując je tym samym na śmierć pod progiem, zaś matkę na szaleństwo z bólu.

Motyw cierpiących matek, przeklinających oprawców ich dzieci, jest częsty w baśniach Warmii i Mazur. Z reguły to właśnie moźni panowie okazują tu swoje czarne oblicze, wymierzając karę niewspółmierną do winy. Odcinają ręce głodującym dzieciom za upolowanie pańskiego królika albo biją do nieprzytomności za niedopilnowanie kurcząt, które porwał jastrząb. Zdarza się, że owe sieroty, zmuszane do nieludzkich wysiłków i obrzucane kamieniami, szukając ratunku, odbierają sobie życie lub giną w dziwnych okolicznościach, jak pastuszek Stefanek, „co krówki pasał, a teraz wisi na brzozie”.

Bezdušność silniejszych wobec słabszych w bajkach przejawia się też jako przemoc wobec kobiet. Chłosta, bicie, szczenie psami, zamykanie w ciemnych i zimnych lochach, morzenie głodem czy wypędzanie – to zaledwie w czasach pokoju. Wojna przynosiła gwałty, tortury, zakopywanie żywcem, palenie ciała. W przekazach regionalnych odnaleźć łatwo te historie, które mają swoje źródła w dziejach walk plemion pogańskich i zakonu krzyżackiego. Chrześcijańskie ideały rycerstwa zakonnego nie doczekały się tu bynajmniej dobrego świadectwa. U Sukertowej czytamy o dziewczęciach pokutujących w niewoli i innych niewiastach uwięzionych w Pasymiu, których „obnażone plecy ćwiczą batogami siepacze, a kat hakiem rozżarzoną przypieka piersi, na kole zębątem łamie kości”. Wszystko to z polecenia mistrza namiestnika, Krzyżaka-bestii, klnącego szatańskim głosem. Na polach bitwy ściera się ciała martwych w potokach krwi, poćwiartowane toporami, a zwłoki nieprzyjaciela wiszą porozwieszane ku przestrodze na drzewach. Między stronami legend słychać jęki podpalanych żywcem i obłąkanych z bólu ofiar. Czasem pojawi się żołnierz ze ściętą własną głową pod pachą.

Okrucieństwo w baśniach ma różne oblicza, lecz zastanawia nie tyle „arsenal” ludzkich podłości, co fakt, iż historie przekazywane przez pokolenia wyrastają najczęściej z ziarna prawdy. I choć obudowane jest ono dużą dawką wyobraźni, czasem plotką lub przesadą, to jednak emocje w nich zakłętą są autentyczne. Małym czytelnikom warto zatem nieco przyglądzić opowieści o kobiecie, która „rzekomo zamierza męża brzytwą zarznąć”. Niech tym złym pozostanie raczej ziejący ogniem smok. Jednak dobrze jest pamiętać, że baśnie i bajki, nawet te najbardziej odrażające, są cennym źródłem wiedzy o nas samych, nie wyłączając mrocznej strony ludzkiej natury. □

Życie kulturalne Ostródy

Na portalu dlaStudenta nazwano Ostródę miastem „o charakterze turystyczno-kulturalnym” i taka opinia zdaje się w pełni uzasadniona. Malownicze położenie wśród lasów i pięciu jezior oraz odbywające się latem imprezy rzeczywiście przyciągają do miasta tysiące turystów spragnionych kontaktu z naturą, czynnego wypoczynku i niezapomnianych przeżyć artystycznych.

Kulturalną wizytówką miasta jest Ostróda Reggae Festiwal – największy w Europie Środkowo-Wschodniej festiwal muzyki reggae. Wyrósł on z realizowanego w latach 80-tych przeglądu Ost-rock, który w 2001 roku reaktywowali Artur Munje i Piotr Kolaj.

I tak od kilku lat w połowie sierpnia miasto kołysze się w rytmie reggae i przybiera barwy zielono-żółto-czerwone. Rytmu rodem z Jamajki przyciągają do Ostródy tysiące fanów. Na festiwalowych scenach grają najślynniejsze zespoły z Polski i ze świata. Podczas dotychczasowych edycji wystąpiło ponad 300 wykonawców, wśród nich takie gwiazdy jak: Vavamuffin, Izrael, Bakshish, Yellowman, Misty in Roots czy Steel Pulse.

Kolejna, pełna ciepła, barw i światła oferta festiwalowa to organizowany przez Ostródzką Grupę Tancerzy Ognia „Exodus” Ostródzki Festiwal Ognia. Jest to największa tego typu impreza w Polsce. Na warsztatach spotykają się artyści zajmujący się ogniem i sztukami kuglarskimi z Polski oraz z zagranicy, a festiwal kończy spektakl co roku realizowany w innej aranżacji.

W drugiej połowie lipca do Ostródy przyjeżdżają fani muzyki popularnej z całego kraju. W odbywającym się od kilkunastu lat i wciąż budzącym kontrowersje Ogólnopolskim Festiwalu Muzyki Disco Polo i Dance biorą udział największe gwiazdy tego gatunku muzycznego. Impreza – rejestrowana i emitowana przez telewizję Polsat – przyczynia się do promocji miasta.

Mówiąc o ostródzkim lecie kulturalnym nie można pominąć kilku cyklicznych imprez: Dni Morza, Dni Ostródy, Ostróda Summer Hot Days i Festynu Solidarności, podczas których odbywają się koncerty, turnieje, pokazy sztucznych ogni.

Ciekawą letnią propozycją Centrum Kultury w Ostródzie, z roku na rok przyciągającą coraz większą ilość widzów, jest Międzynarodowe Lato z Folklorem – impreza towarzysząca Międzynarodowym Olsztyńskim Dniom Folkloru. Na dziedzińcu zamkowym można było podziwiać m.in. zespoły z Serbii, Ekwadoru, Indii, Włoch, Białorusi, Turcji i oczywiście z Polski.

Oryginalną, również cykliczną, inicjatywą kulturalną jest odbywający się pod murami zamku plener rzeźbiarski, w którym uczestniczą rzeźbiarze z Ostródy i naszego województwa. Rzeźby powstają na oczach i przy współudziale mieszkańców miasta i turystów, którzy mogą spróbować swoich sił w tej trudnej sztuce.



Lato się kończy, turyści powoli opuszczają miasto, nadchodzi jesień i inauguracja kolejnego roku kulturalnego. Bo kultura, wbrew narzekaniom malkontentów, wcale z odejściem lata nie usypia.

Centrum kulturalne miasta to ostródzki zamek – tu mieści się największa instytucja kultury w mieście – Centrum Kultury w Ostródzie (w którego strukturze działają Agencja Upowszechniania Kultury i Miejska Biblioteka Publiczna) oraz Muzeum w Ostródzie. Tu przez cały rok odbywają się koncerty, sztuki teatralne, imprezy okolicznościowe, konkursy, wystawy. Zespoły, których działalność jest koordynowana przez Agencję Upowszechniania Kultury – Orkiestra Miejska, Zamkowy Chór Kameralny, Zespół Tańca Polskiego „Mazur” oraz Kapela „Ostródzianie” – swoimi występami uświetniają wiele imprez organizowanych w mieście. Galeria, również przez cały rok, zaprasza na wystawy. W roku 2009 do najciekawszych należały „Lalki polskie i świata” oraz wystawa malarstwa Wiesława Ochmana. Obecnie można obejrzeć wystawę misyjno-etnograficzną „Indie ojca Mariana”.



Festiwal Ognia
Fot. Koykos Studio



Bogată ofertą kulturalną do korzystania ze swoich usług zachęca użytkowników Miejska Biblioteka Publiczna. Czytelnia na zamku tętni życiem i niemal co tydzień odbywają się tu jakieś spotkania: prelekcje, wieczory poezji, promocje książek, wernisaże.

Biblioteka stała się miejscem prezentacji artystycznych lokalnych twórców. Swoje wystawy indywidualne mieli tu m.in. rzeźbiarze Sławomir Kowalski i Marian Mackiewicz oraz malarka Wanda Rakowicz. Do końca marca 2010 roku 11 autorów prezentuje prace na wystawie zorganizowanej z okazji Światowego Dnia Kota.

Działające na ostródzkim zamku Muzeum na wystawie stalej prezentuje zbiory związane z przeszłością ziemi ostródzkiej oraz organizuje ciekawe wystawy czasowe. Do najbardziej interesujących w ubiegłym roku należały „Widoki z Warmii. Ferdynand von Quast i początki konserwatorstwa zabytków w Prusach Wschodnich”, wystawa porcelany i fajansu „Z ogrodu do salonu i jadalni. Motywy kwiatowe w zdobnictwie ceramiki ze zbiorów Muzeum Warmii w Olsztynie” oraz „Projekty rewitalizacji zamku w Ostródzie a jego dzieje budowlane”.

Mówiąc o życiu kulturalnym nie można pominąć działających w mieście organizacji i stowarzyszeń oraz formalnych i nieformalnych grup, których działalność ma wpływ na kulturalny krajobraz Ostródy. Wyróżniają się tu: organizujące ciekawe spotkania i prelekcje Stowarzyszenie Kulturowe „Sasinia”, promujący twórczość artystyczną Klub Plastyka Amatora, organizator Festiwalu Piosenki Harcerskiej, Turystycznej i Żeglarskiej – Komenda Hufca ZHP oraz utworzona przez Monikę Kazimierczyk Młodzieżowa Grupa Teatralna „Zmysł”, mająca na swoim koncie wiele znaczących nagród. Dzięki Pani Monice miłośnicy teatru mogą też co miesiąc spotkać się z aktorami z Teatru Stefana Jaracza w Olsztynie, którzy przyjeżdżają z teatrem stolikowym.

Wielbicieli muzyki rockowej zaprasza klub „Młyńskie Koło”, gdzie obok uznanych kapel sceny rockowej, takich jak Dezerter, Kryzys, Lao Che czy Acid Drinkers, koncertuje wiele młodych początkujących zespołów.

W bogatej ofercie wielu podmiotów zajmujących się kulturą (nie o wszystkich zdołałam napisać) każdy może znaleźć coś dla siebie, ale na koniec ogromny minus ostródzkiej kultury – w naszym mieście nie ma kina, więc wielbiciele X muzy na premiery filmowe muszą wyjeżdżać do innych miast. □

Ostróda Reggae Festiwal – Tosh meets Marley
Fot. Koykos Studio

Marek Jankowski

Zwiedzając ostródzki zamek, można zejść do piwnic i napić się kawy w kawiarni, która mieści się pod jego północnym skrzydłem. Pomieszczenia, które obecnie zajmuje kawiarnia, zostały oddane do użytku niespełna dziesięć lat temu. Zachowane są tam gotyckie sklepienia krzyżowe na gurtach, podtrzymywane na solidnych granitowych filarach. Zwiedzający podziwiają ich solidną konstrukcję – w obwodzie u podstawy największy ma około czterech metrów grubości. Wrażenie robi również dochodząca miejscami do trzech metrów grubość murów w piwnicach, widoczna przy niewielkich otworach okiennych, przez które wpada z zewnątrz przyćmione światło. Dzisiejsze podziemia są jednak tylko częściowo odsonięte i dostępne dla zwiedzających. W ciągu kilku wieków od wzniesienia zamku zmieniło się zarówno jego otoczenie, jak i sam zamek – kilkakrotnie przebudowywany z powodu zniszczeń, które dotknęły go szczególnie w XVIII i XX wieku.

Zmiany te dotyczyły również jego podziemi. Pierwotnie zaprojektowano budowę czteroskrzydłowej twierdzy z dziedzińcem pośrodku. Oprócz trzech kondygnacji naziemnych Krzyżacy zaplanowali również budowę piwnic, które rozciągały się pod wszystkimi częściami zamku. Wznoszenie warowni rozpoczęto w pierwszej połowie XIV wieku, kiedy Ostróda została siedzibą komturstwa – wyższej jednostki administracyjnej państwa krzyżackiego. Ówczesny komtur Günther von Hohenstein stanął w obliczu zwiększonych potrzeb i zadań, które należały do komturstwa, rozpoczął więc budowę nowej murowanej warowni. Fundamenty i częściowo ściany piwnic wzniesiono z kamienia pozyskanego prawdopodobnie z okolicznych pól. Polodowcowe ziemie bogate są przecież do tej pory w glazy i kamienie narzutowe. Dopiero na tej podstawie kontynuowano budowę

Tajemnice piwnic ostródzkiego zamku

ścian piwnic i następnych kondygnacji z cegły. Niespokojne czasy drugiej połowy XIV wieku spowodowały, że budowa przeciągnęła się do początków wieku XV. Szczególnie dotkliwy był najazd księcia litewskiego Kiejstuta, który w 1381 roku dotarł aż do Ostródy i, jak przekazują kroniki, spalił miasto i zamek.

Zamek, który był siedzibą władz administracyjnych zakonu, był również centrum gospodarczym, skąd zarządzano licznymi dobrami zakonnymi i gdzie magazynowano znaczne zapasy żywności pod różną postacią. Piwnice, w których niezależnie od pory roku panowała niska temperatura, służyły do magazynowania głównie różnego typu napojów. Zarządzał tym piwniczy – urzędnik zakonny odpowiadający za napoje składowane w piwnicy, czasami też opiekujący się browarem. Na ostródzkim zamku znajdował się także browar produkujący piwo na potrzeby jego mieszkańców, a przechowywano je w beczkach właśnie w podziemiach zamku. Zachowane z różnych lat spisy inwentarzowe skrupulatnie odnotowywały zaopatrzenie zamku pod każdym względem – uzbrojenia, wyposażenia w różnego rodzaju sprzęty gospodarcze, zapasy żywności itd. Nie zabrakło także spisów wszelkiego typu napitków, jakie znajdowały się w podziemiach. W czasach krzyżackich, na początku XV wieku, w 1407 roku, czyli tuż przed wojną z Polską, wykazano w inwentarzu m.in. miód pitny, stary miód, piwo elbląskie, wino włoskie, wino reńskie, czerwone, krajowe, toruńskie i ostródzkie, 2 beczki podwójne piwa marcowego, 6 kuf piwa kolacyjnego, 4 beczki podpiwku, 1 beczkę wina dla kościoła. Jak widać z tego spisu, w Ostródzie produkowano również wino – prawdopodobnie z winogron uprawianych w okolicach! Widocznie ówczesny klimat sprzyjał takiej uprawie. Nie brakowało też różnego typu win z dalszych stron, co było zapewne wynikiem szeroko zakrojonego handlu, jaki

państwo krzyżackie prowadziło na terenie całej Europy. Świadczyło to również o względnie dużych dochodach samego komturstwa. Oprócz napojów przechowywano tu również niezbędne zapasy przypraw korzennych; używano ich między innymi przy wyrobie miodów pitnych, piwa czy też miejscowego wina, aby poprawić jego smak. W niektórych wymieniano też naczynia, które służyły do przenoszenia i picia napojów. Były to najrozmaitsze cynowe i drewniane dzbany, trójniaki, dzbany z dzióbkiem, kufle, kubki cynowe. Wielka szkoda, że nie zachowały się do dziś. Inwentarze z innych okresów podają podobne, a nawet większe ilości trunków przechowywanych na potrzeby załogi zamku. Pamiętajmy, że zamek był również obiektem wojskowym i pełnił ważną rolę obronną w systemie państwa krzyżackiego.



Koniec XVIII wieku przyniósł zasadnicze zmiany w funkcjonowaniu zamku, który ucierpiał z powodu pożaru miasta w 1788 roku. W jednej z piwnic zamkowych przechowywano w tym czasie proch należący do stacjonującego w mieście pułku dragonów. Wybuch tego prochu spowodował znaczne zniszczenia. Prawdopodobnie część podziemi w toku późniejszych prac przy przebudowie zamku nie została odgruzowana. Pisze o tym autor monografii miasta z początku XX wieku, Johannes Müller.

Najgorszy jednak los dotknął obiekt w 1945 roku. Po wejściu do miasta wojsk armii sowieckiej stare miasto i zamek zostały spalone. Stropy wyższych kondygnacji zapadły się aż do piwnic, z których niewielka tylko część nie uległa zniszczeniu. Przez długie lata w ruinach zamku buszowały dzieci, odważniejsze zapuszczały się nawet do podziemi, a po Ostródzie zaczęły krążyć niezwykle opowieści o tajemniczych lochach i przejściach prowadzących daleko poza zamek. Ile w nich prawdy? Zapewne był to efekt wyobraźni młodych ludzi i atmosfery tajemniczych ruin pamiętających czasy średniowiecza. Nie da się jednak przy tym pominąć pewnych relacji ludzi dorosłych i „godnych wiary”. Wspomniany wcześniej Johannes Müller w swojej monografii pisze o sklepieniach piwnicznych pod zamkiem, do których wejścia są zasypane. Skrupulatny i drobiazgowy pruski nauczyciel dodaje jeszcze: „Podobno przejść można było nimi aż do jeziora, a nawet do Zielonego Cypla; oprócz tego wiodły one pod domami przez rynek i do kościoła. Wskazują na to fragmenty sklepień piwnicznych, które odkryto podczas prac budowlanych i remontów”.

Te słowa pobudzają oczywiście naszą wyobraźnię i chęć poszukiwań choćby śladów tych lochów. Nie jest to bowiem jedyna taka relacja. W latach pięćdziesiątych XX wieku prowadzono prace dokumentujące stan zachowania zabytku po wojennych zniszczeniach. Na planach sporządzonych przez architekta Józefa Fischera znalazła się tajemnicza adnotacja: „Kierunek tunelu pod rzeką Drwęcą z wylotem na cmentarzu ca 400 m długości (wiadomość: Ob. mjr Bombala Ostróda)”.

Późniejsze prace archeologiczne i budowlane prowadzone od lat sześćdziesiątych XX wieku nie potwierdziły dotychczas tych informacji. Do dzisiaj można jednak spotkać ludzi, którzy twierdzą, że wchodzili do takiego tunelu.

Współcześnie tylko część piwnic jest użytkowana. Te znajdujące się pod skrzydłem południowym i częściowo pod zachodnim czekają na kolejne prace, które odsłonią ich tajemnice. Czy planowane dziś prace przy rewitalizacji zamku doprowadzą do potwierdzenia niektórych relacji o sekretnych przejściach? □

Rebelia prowincji... 20 lat później

W 2010 roku Stowarzyszenie Wspólnota Kulturowa Borussia obchodzi XX-lecie swojego istnienia. Z tej okazji zaprasza na cykl spotkań pod hasłem „Rebelia prowincji 20 lat później...”. W programie znajdują się m.in.:

- promocja kaliningradzkiego numeru pisma „Borussia” (kwiecień, Warszawa)
- XV Salon Mendelsohna „Żydzi w Prusach Wschodnich” (kwiecień, Olsztyn)
- prezentacja nowości wydawnictwa „Borussia” (kwiecień, Gorzów, Warszawa)
- warsztaty literacko-artystyczne (maj, Olsztyn)
- Centrum Dialogu Międzykulturowego – cykl międzynarodowych warsztatów młodzieżowych (lipiec-sierpień, Olsztyn)
- tydzień „Borussii”, przyznanie „Nagrody XX-lecia” (sierpień, Olsztyn)
- Dni Kultury Żydowskiej (październik, Olsztyn)
- Benefis „Borussii” (październik, Warszawa)
- II Zaduszki Poetyckie (listopad, Olsztyn)
- polsko-niemiecko-rosyjskie Forum „Bez Granic” (grudzień, Berlin)

Literackie Mazury Cud Natury

Stowarzyszenie Wspólnota Kulturowa „Borussia” serdecznie zaprasza uczniów szkół gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych do udziału w **Konkursie Recytatorskim „Literackie Mazury Cud Natury”**.

W konkursie mogą uczestniczyć uczniowie olsztyńskich szkół gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych. Każda placówka może zgłosić do udziału w konkursie jednego laureata, wyłonionego w eliminacjach szkolnych. Zgłoszenia udziału należy dokonać w terminie do **15 maja 2010 r.**

Uczestnicy konkursu prezentują **fragmenty dwóch utworów**: jeden dowolnie wybrany **fragment utworu Siegrfieda Lenza *Muzeum ziemi ojczystej*** oraz dowolnie wybrany **fragment literatury regionalnej** (utwory o tematyce dowolnej autorów urodzonych na Warmii i Mazurach, pochodzących z Warmii i Mazur, w tym autorów zarówno współczesnych, jak i dawnych).

Przesłuchania finałowe odbędą się w dniu 26 maja 2010 roku w Olsztynie.

Szczegółowe informacje:
wydawnictwo@borussia.pl

OPOWIEŚĆ

TRAUMATYCZNO-WIGILIJNA

Bobbie B. Barlow

Weronika wracała do domu na święta. Tam, przygotowując wigilijną wieczerzę, czekał na nią kochany mąż i dwójka dzieci: Krystian i Ania.

Weronika nienawidziła swojej pracy, a w swojej pracy najbardziej nienawidziła swojego szefa, który kazał jej jechać służbowo tak daleko i to w wigilię świąt Bożego Narodzenia.

Dzisiaj po raz kolejny obiecała sobie, że jak tylko nadarzy się okazja, rzuci tę pracę. Nawet gdyby to oznaczało niższe zarobki. Byle tylko mogła więcej czasu spędzać ze swoimi dziećmi. Nie, nie z JEJ dziećmi, tylko z ICH dziećmi. Mąż jej ciągle powtarzał, że dzieci nie są JEJ, tylko ICH.

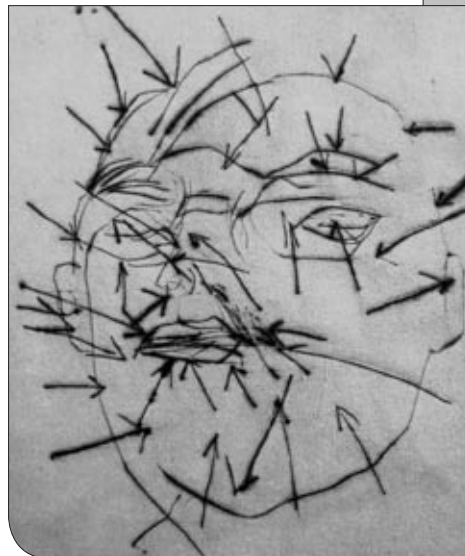
Pogoda nie pozwalała na szybsze pokonanie drogi do domu. Śnieg, który padał ubiegłej nocy, został już zepchnięty z drogi przez spychacze. A utworzone na poboczu ściany brudnego śniegu dochodziły miejscami do metra wysokości. Resztki spadły zostały rozjeżdżone przez inne auta, które z pewnością jechały dzisiaj przed nią tą drogą. Powrót do domu dłużył się jej niemiłosiernie. Zazwyczaj w drodze słuchała książek zgranych na telefon komórkowy, ale ten rozładował się zbyt szybko, pewnie z powodu mrozu. Radio nie działało, odkąd latem jedno z jej dzieci... – nie, nie JEJ, tylko ICH dzieci – nie wiedząc czemu, próbowało je wyjąć za pomocą znalezionej w garażu dłuta.

Jechała w milczeniu, rozmyślając nad gorącym czerwonym barszczem, do którego jej mąż dodawał szczyptę sproszkowanego imbiru jako tajnego składnika podkreślającego smak zupy. Udawała za każdym razem, że o tym nie wie, a on napawał się swoją tajemnicą niczym dziecko skrywające sekret. I jeszcze myślała o rybie po grecku, z dużą ilością tego „po grecku”. I jeszcze kutia, i makowiec, i...

Nagle na drodze zobaczyła zwalony konar. Zwolniła. W pierwszym odruchu chciała go minąć, ale przez głowę przetoczyły się jej różne myśli. A to, że jeśli go nie zdejmie z drogi, ktoś inny, ktoś mniej ostrożny, może na niego najechać lub próbując go wyminąć spowodować wypadek z nadjeżdżającym z przeciwka samochodem.

Samochód zwalniał coraz bardziej. Zatrzymała się kilka metrów przed konarem. Nie był zbyt duży i ciężki, więc dała radę sama zepchnąć go z drogi.

Wracając do swojego samochodu zobaczyła światła zbliżającego się auta. Pospiesznie wskoczyła do środka i ruszyła w dalszą drogę. Ciężarówka szybko się do niej zbliżyła. Na tyle blisko, iż miała wrażenie, że za chwilę poczuje uderzenie w tylny zderzak. Klakson! Przeciągły dźwięk klaksonu, a potem kilka krótszych wystraszył ją i przyprowadził o gęsią skórkę. Zwolniła zbliżając się do krawędzi jezdni.



- Jedź, wariacie, skoro ci tak spieszo!!! – wykrzyknęła na głos. Ale kierowca ciężarówki nie wyprzedził jej, mimo iż droga pozwalała na to. Przyspieszyła. Ciężarówka też. Teraz oprócz klaksonu kierowca błyskał jej „długimi” światłami. Odwróciła lusterko wewnątrz samochodu.

Nie wiedziała, co robić. Zatrzymać się? Opieprzyć go? Zapytać, o co chodzi? A jeśli to jakiś zbrojeniec? Gwałcieciel? Morderca? Co wtedy stanie się z jej dziećmi – nie, nie JEJ, tylko ICH dziećmi? O, Boże... Dlaczego nie ma tu jej męża. Dlaczego telefon nie działa, wtedy gdy jest najbardziej potrzebny? A może on daje jej jakieś znaki? Może zauważył, że odpada jej koło? Ale dlaczego w takim razie jej nie wyprzedził i nie zatrzymał. O, Boże... Jak ona się bała. I była taka samotna i bezbronna. A on cały czas jechał za nią, trąbił i próbował oślepić światłami.

Wtem na horyzoncie ujrziała światła stacji benzynowej. Poczula, że tam znajdzie ratunek. Nawet nie dopuszczała myśli, że stacja będzie zamknięta, że nie będzie tam żywego ducha. Tam, tylko tam będzie bezpieczna... Tylko tam będzie mogła uwolnić się od tego wariata w ciężarówce za nią...

Przyspieszyła. Ciężarówka za nią też. Wrzuciła kierunkowskaz informując, że zamierza zjechać na stację. Miała nadzieję, że kierowcę to zniechęci, odstraszy, ale on też włączył kierunkowskaz. Światła na stacji paliły się, a przy dystrybutorach kręcił się pracownik. Poczula ulgę. Zatrzymała się. Wyskoczyła z samochodu. Była wściekła i teraz już odważna. Podeszła do kabiny kierowcy ciężarówki, który właśnie podjechał i zatrzymał się tuż za jej samochodem.



Suchoryt Aleksander Woźniak

- Ty wariacie, ty! – krzyżała. – Czego ode mnie chcesz?!!!

Przysadzisty wążacz wysiadł z ciężarówki i stanął naprzeciw niej.

- Niech się pani nie denerwuje – powiedział kładąc ręce na jej ramionach.

- Zabieraj te tapy, perfidny zbrojeńcu! – krzyżała próbując zrzucić jego dłonie ze swoich ramion.

- Niech się pani nie denerwuje i wysłucha mnie – poprosił ciepłym, ale stanowczym głosem.

Spojrzała na mężczyznę z obsługi stacji. Stał nieopodal i przyglądał się im. Mogła czuć się w miarę bezpieczna. Odetchnęła.

- Widziałem, jak przesuwiała pani tamten konar – mówił kierowca. – Zanim pani wsiadła z powrotem do swojego samochodu, z tyłu też ktoś wsiadł. Jak jechałem za panią, widziałem jego cień na tylnym siedzeniu...

Poczuła, jak uginają się pod nią nogi. Zrobiło jej się gorąco. Gdyby mężczyzna nie trzymał jej za ramiona, pewnie osunęłaby się zemdlna.

Podeszli do jej samochodu. Rzeczywiście, drzwi z tyłu były tylko przymknięte. Otworzyli je. Na siedzeniu nie było nikogo. Leżał tam tylko kawałek stalowej linki. □

Andrzej Ballo

psychomity

człowiek jest istotą dwunożną i nieopierzoną
Platon

w wyniku badań psychologicznych stwierdzono iż
Prometeusz był piromanem i neurotykiem
(zatem ogień ukradł z zasady?)
piękna Helena popełniła błąd atrybucji
Herkules padł ofiarą dysonansu poznawczego
Dionizos miał alkoholowy zespół Korsakowa
a Syzyfa usprawiedliwiono
syndromem ciągłego zmęczenia

najbardziej zdumiewającym odkryciem jest fakt
iż
koń trojański był sublimacją libido
i równie dobrze mógłby być chomikiem

legły mity
przyjdzie nam
czynić gustą

Piotr Bierzyński

Pokuta świętych

obrazami świętych zaciemniłem okna
opluli i zarzycali cały parapet
miłosierne miny zmył deszcz
poczekam

na ściany trzeba zasłużyć

Ćwiczenia życiowe

niebo
skłony
przed
się
wzięcia
z martwych
wstanie
wdech
za
kręcenie
pod
kopanie
u
chwycenie
od
rzucenie





Waldemar Tychek „Wampir” Reymonta

KANION LEKTUR

Może nie wszyscy o tym wiedzą, ale w roku 1888 odkryto u Reymonta nadzwyczajne zdolności mediumiczne. Po prawdzie to niejaki Puskow – szafawila, duchowy żulik i hochsztapler – wmówił naiwnemu Reymontowi posiadanie predestynacji do zrobienia kariery spirytystycznego brokera, ale fakt ten jest skrzętnie wymazywany gumką „Myszką” przez biografów. Dlatego też przyjmując się, że Reymont medium był i basta! Nie tylko zresztą Reymont. Także Prus, Matuszewski, Siemiradzki oraz – a jakże! – nasza Maria Skłodowska-Curie, która wspomagała w paryskich seansach samą Eusapię Palladino.

Wracając jednak do Reymonta.

Po nawiązaniu kontaktów z międzynarodową śmietanką teozoficzną zwiedza nieomalże całą Europę, gdzie się udziela duchowo, a także od czasu do czasu i cieleśnie. Rychło się jednak okazuje, że takie z niego medium jak Narodowy Fundusz Zdrowia dla chorych. Z tego okresu znane jest też powiedzenie, przypisywane właśnie Reymontowi: „Ja tam w duchy nie wierzę, ale że są, to są”.

Efektom braku owych zdolności jest napisana ostatecznie w czterdziestym czwartym roku życia powieść „Wampir”. Jednak pracę nad nią Reymont rozpoczął już w 1900 roku, zrazu opatrzył ją tytułem „I po dniach wielu, i po latach wielu”, by następnie, w 1904 roku, zatytułowaną „We mgłach”, opublikować w odcinkach w „Kurierze Warszawskim”.

Natomiast trzeba mieć nie lada odwagę i potężną dawkę intelektualnej obstrukcji, ażeby głównemu bohaterowi nadać imię Zenek! A także właśnie uczynił Reymont!

Otóż ów Zenek emigruje do Londynu (jakież to symptomatyczne!), tam poznaje eteryczną Daisy i hinduskiego Guru z Gór – Mahatmę. Pod ich wpływem oddaje się zakazanym misteriom, kontaktuje z duchami oraz uczestniczy w satanistycznych rytuałach. Zaniedbuje tym samym swoją angielską narzeczoną – Betsy. Sytuacja komplikuje się jeszcze bardziej, gdy do Londynu przybywa stęskniona ogromnie dawna narzeczoną Zenka – Ada. Wszystkie trzy zaginają parol na Zenka i toczą o jego duszę nieustanny bój. Koszmar. Dalszego ciągu można się domyślić. Zenek, uwikłany w sieć zastawioną przez trzy kochanki, uzależniony dodatkowo od demonów ciemności, szczególnie i pozbawiony sił witalnych stoczy się w chorobę psychiczną.

I o ile badacze literatury podejrzewają, że pierwowzorem Daisy mogła być Wanda Szczukowa, z którą Reymont na początku 1900 roku przeżył jedynie dwa upojne dni i noce, o tyle po latach do postaci Daisy przynależała się inna Wanda – Toczyłowska. A przecież gdzieś tam w tle funkcjonowała jeszcze Aurelia Szablowska, z którą

Reymont od lat był związany i którą ostatecznie poślubił. Nie dziw więc, że – tak jak w powieści główny bohater Zenek zachorzał – tak i w życiu twórcy jego, Reymonta, szereg przypadłości zdrowotnych w jego organizmie osiadło i do smutnego końca doprowadziło.

Powieść nie spotkała się z pozytywną krytyką. Jedynymi jej adwokatami byli Józef Jankowski – mniej znany poeta i mistyk – oraz Tadeusz Miciński. O ile admirację Jankowskiego nietrudno przełknąć, o tyle przychylność Micińskiego nie wydaje się zbyt wyważona. Miciński, skądinąd zadeklarowany satanista, raczej skłaniał się ku filozofii cokolwiek hermetycznej, by pojąć, że czytelników nie interesuje za bardzo gwizdzący imbryczek wypełniony piekielnym wrzątkiem. Czytelnik chciałby zobaczyć jak ten wrzątek się rozlewa do szklanek ludzkiego losu. Oczywiście jesteśmy zdania, że może i istotnie Panu Bogu udało się stworzyć wspaniałe niebo, ale ziemię to jakby troszeczkę sknocił. Dlatego też współczesna powieść grozy nie może ograniczać się do opisów, że jakiś ktoś tam wpija nam się w zgięcie łokciowe albo w szyjkę, bo przecież jakby taki ktoś chciał, to mógłby sobie zamówić odpłatnie transfuzję i potem spokojnie spać następne sto lat. Dzisiaj wampirem może być każdy człowiek. A po czym można go poznać?. Ano po tym, że mu się świeci jak kotu w ślepiach. □



Rys. Przemek Kozak

Sylwia Białecka Kobieca, czyli gorsza?

No i doczekaliśmy się w Olsztynie Manify...

Z bogatego programu wybrałam spotkanie z autorkami i redaktorkami antologii poezji kobiecej „Solistki”: Marią Cyranowicz i Joanną Mueller, oraz wydawczynią książki – Beatą Gulą. Antologia prezentuje poetki, które debiutowały w latach 1989-2009, książka ma przeciwdziałać marginalizowaniu poezji kobiet i upominać się o jej prawa. Autorki konsekwentnie unikają sformułowania „poezja kobieca”, uzasadniając, że w krytyce literackiej jest ono niemalże obraźliwym epitetem, wyrażeniem deprecjonującym, sygnalizującym poezję niezbyt wysokich lotów. Ja jednak upieram się, by tego wyrażenia używać (na przekór Szczuce – strzał w stopę!). Tylko wtedy te wredne negatywne konotacje znikną, jeśli będziemy konsekwentnie używać słów i wyrażać w nowych znaczeniach i te znaczenia w uzusie codziennym utwierdzać (i niech panowie inżynierowie na określenie swoich teczek wymyślą inne słowo niż inżynierka, ot co!).

Wracając do „Solistek”...

Zgadzam się z autorkami antologii, że takie zbiory są konieczne. Potwierdza to nie tylko niewielka obecność poetek w życiu literackim i obiegu wydawniczym. Ukazanie się tylko jednej książki poświęconej poezji kobiecej wywołało liczne, a przy tym bardzo emocjonalne głosy krytyków. Bo niby dlaczego programowo kobieca? Czy teraz pięćdziesiąt procent wydawanych książek będzie autorstwa kobiet (wydanie antologii zbiegło się z dyskusją o parytetach)? Te wszystkie rozhisteryzowane reakcje, a przy tym brak solidnej analizy prezentowanej poezji, utwierdzają mnie w przekonaniu, że toczy się wojna, nawet w tak ulotnej, wydawałoby się, materii jak poezja.

Antologia „Solistki” nie wynika przy tym z żadnych założeń ideologicznych – nie jest programowo feministyczna, ani romantyczna, ani prorodzina. Stawia na różnorodność warsztatu, poetyki, tematyki, zgodnie z założeniem, że INNE nie jest gorsze lub lepsze, jest po prostu INNE. Autorki pozostawiają przy tym wolność odbioru – nie każdy musi się przecież z doświadczeniami konkretnej poetki identyfikować. Jest w tym jakaś nowość w porównaniu z poezją mężczyzn, którzy zawsze piszą o swoich doświadczeniach, jak o doświadczeniach człowieka uniwersalnego. Można powiedzieć, że antologia „Solistki” uczy nas świeżości spojrzenia na poezję w ogóle.

Z przykrością stwierdzam jednak, że prowadzący spotkanie przekazu nie pojął. I już nie chodzi o to, że nie był w stanie wykrztusić słów „ciąża” i „macierzyństwo”, zastępując je (jakże eufemistycznie!) „kwestią rozmnażania”. Czyżby uważał je za obraźliwe (a przecież nie chciał, naprawdę nie chciał nikogo urazić!)? Nieco absurdalne wydawało się też zdanie: „poezja kobieca tak naprawdę nie istnieje, polega tylko na innej recepcji” (cytat z pamięci), wygłoszone z antologią POEZJI KOBIECEJ w ręku... □

Łucja Ciesielska Cała jestem z...

Kotek czyści sobie żołądek. Chrzanię to saszetkowe jedzenie, ciepłko, bezpieczeństwo... Rzęsisty rzyg – i aksamitny, czarny anarchista znika w zakamarkach.

–Ty się dziwisz, moja droga – mówi Janina Duszejko siedząc w fotelu i bawiąc się wnykami – w naturze jadłby myszki, jaszczurki...

Bez entuzjazmu zabieram się do sprzątnia, lecz ciepło oddechu na karku zmusza mnie do odwrócenia głowy – i napotykam przedziwne oczy Umy Thurman, przewiercające czaszkę, która to za moment rozpada się na dwie części, ukazując szaroróżową tkankę podobną do orzecha włoskiego z przyklepionymi doń fundamentalnymi pytaniami „jak żyć”, „czym jest świat i wszechświat” i takie tam, w tym również – „dlaczego zazdrosny mąż poza żoną i jej kochankiem zastrzelił krowę?”. Gałki oczne, wyszarpięte przez Umę, jeszcze przed ciosem kataną leżą na podłodze.

– Ci, którzy szczęśliwie przeżyli, brać dupy w troki i won! Ale... zostawcie odcięte części ciała. Tylko ciebie to nie dotyczy, zostań tam, gdzie leżysz – oznajmia niedoszła Panna Młoda, lekuchno przejeżdżając kataną po jamie brzusznej. Krew, krew... Co tam krew, cztery metry jelita cienkiego, półtora grubego wylewa się z mego wnętrza, przepelniając pomieszczenie zapachem rodem z „Delicatessen” i „Zielonych Rzeźników”. Ach! a te steki z przystawką z zielonych smażonych pomidorów. Co cię nie zabije, to utuczy. Nic tak nie zbliża ludzi jak kanibalizm, po co zjadać braci mniejszych...

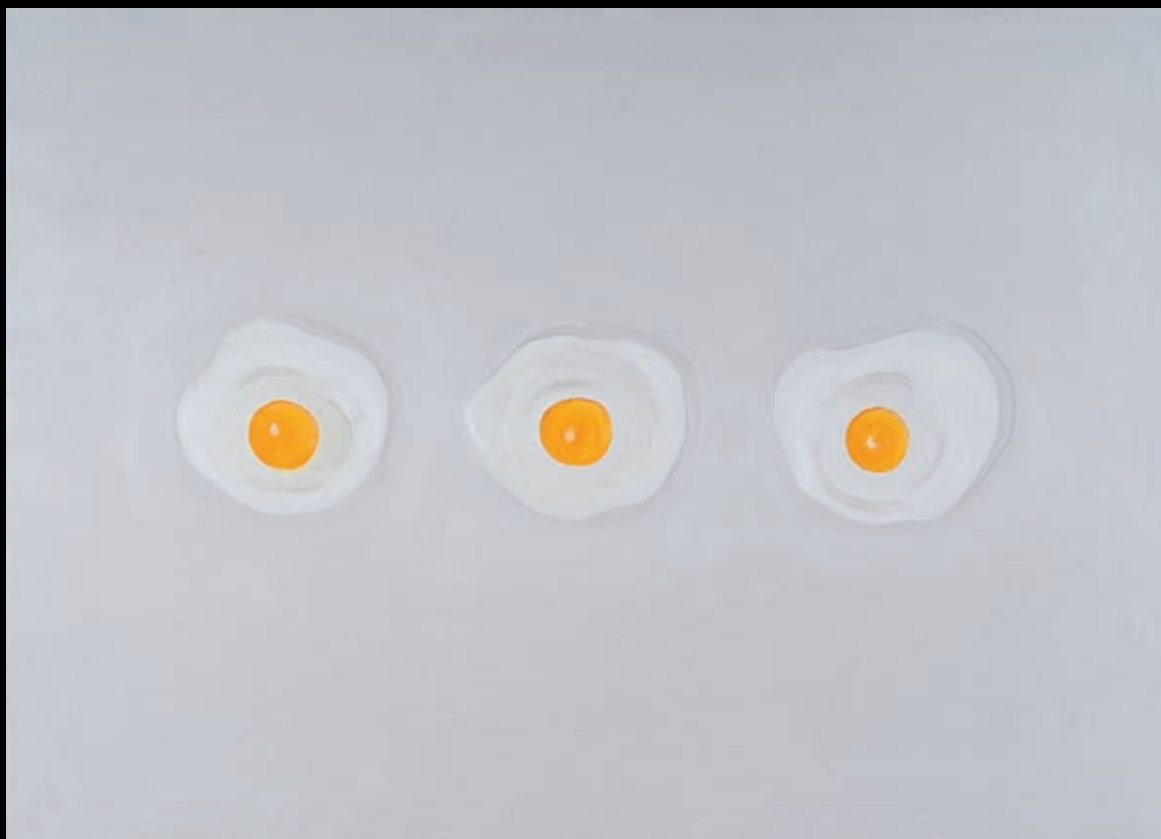
W pokoju robi się parno. Kaloryfery pracują bulgocząc i sapiąc, a wyziewy jak w „Hotelu Splendide” – jemy, jemy, wydałamy, jest odzysk metanu z kanalizacji, jest ciepłko.

Nie czuję się dobrze. „Cała rasa ludzka wykazuje powszechną tendencję do przemieniania się w zwłoki. Zwłoki nie tryskają entuzjazmem” – profesjonalnie szepcze Luk Rhinehart, dawniej psychoanalityk, a obecnie kościarz, delikatnie przytrzymując moje dłonie odcięte przez „Miłosierną siekiere”, której nie zdołał powstrzymać nawet Nicholas Fandorin. – No, za co to wszystko? Za co? Przecież jestem dobrym człowiekiem. Jeżdżę autobusem, nie korkuję ulic – mam dosyć. Budzę się.

– No kurde! Cała jestem z popkultury, czy co?... Nie, tylko nie pop! nie pop!!!

Dobrze, że wypożyczyłam O. Pamuka, H. Müller... Nobliści mnie uratują.

We śnie udział wzięły następujące książki i filmy: Tokarczuk Olga „Prowadź swój pług przez kości umarłych”, „Kill Bill” reż. Quentin Tarantino, „Delicatessen” reż. Jean-Pierre Jeunet, „Zieloni Rzeźnicy” reż. Thomas Jansen, „Hotel Splendide” reż. Terence Gross, Luke Rhinehart „Kościarz”, R.N. Morris „Miłosierna siekiere”, Boris Akunin „F.M”, „Euforia” reż. Iwan Wyrypajew, „Smażone zielone pomidory” reż. Jon Avnet. □



♂♀, olej płótno, 70 x 100 cm, 2007

Kod, olej płótno, 70 x 100 cm, 2007

